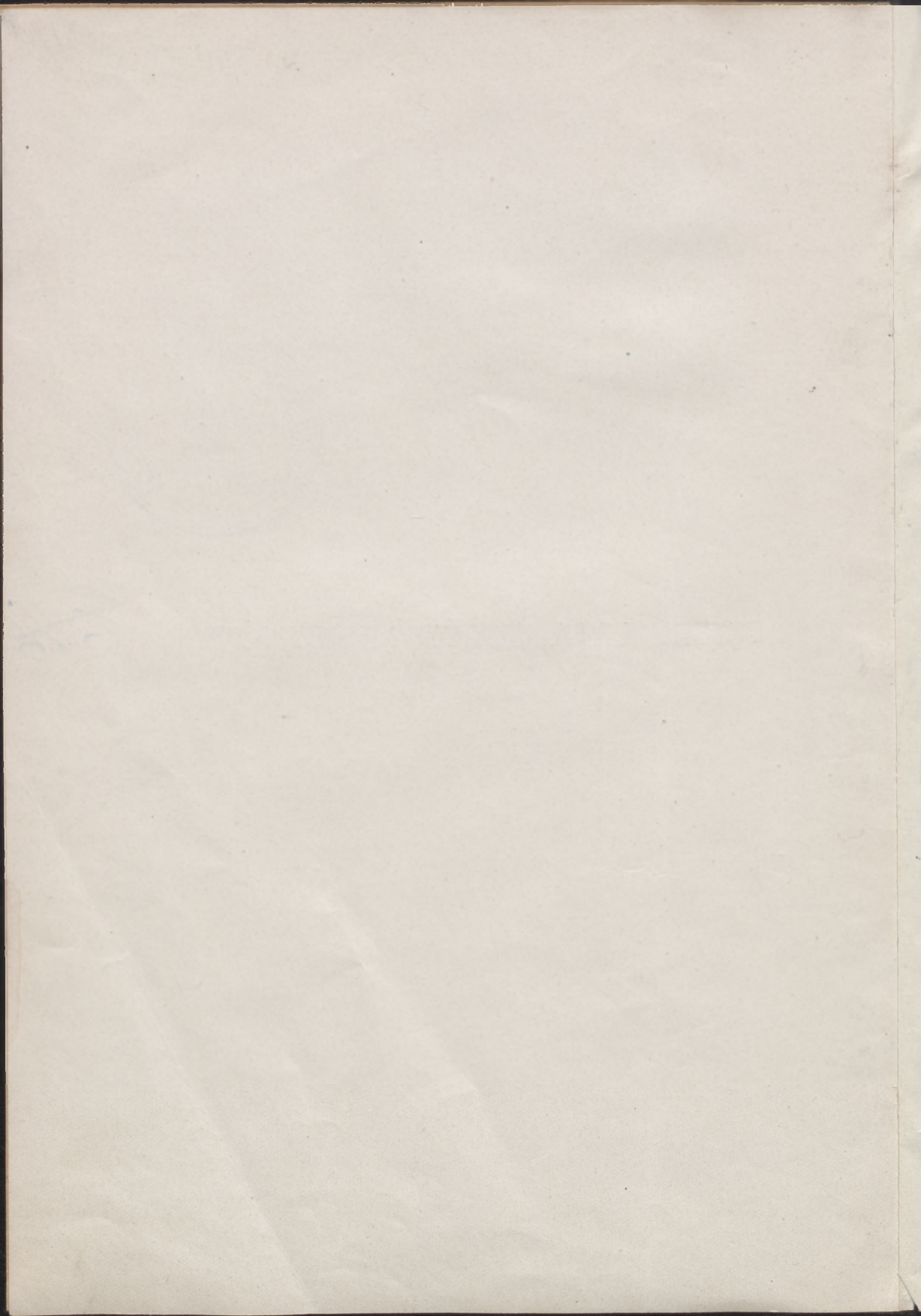
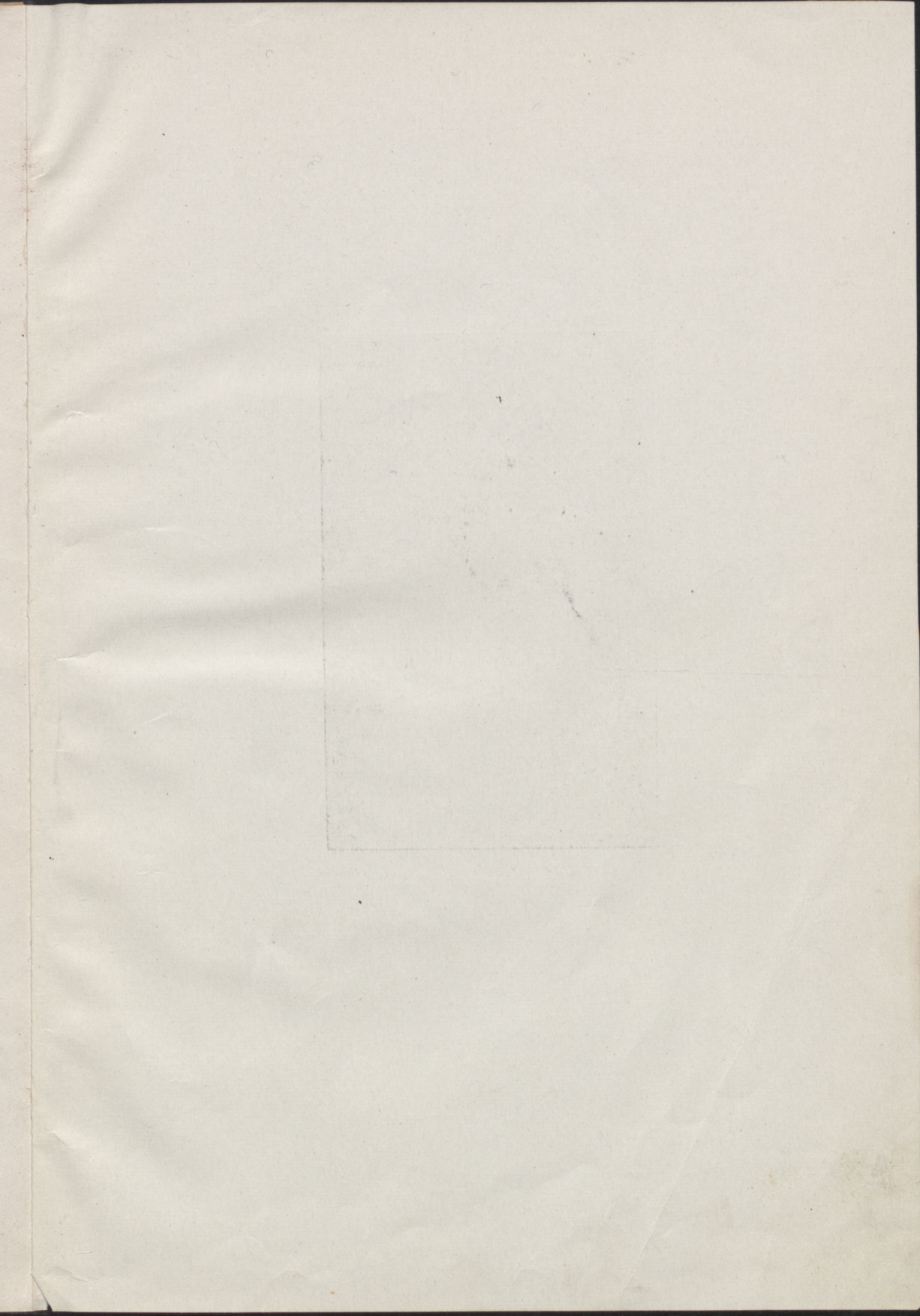




CZTERY LATA WŚRÓD MURZYNÓW.

*Handwritten signature or initials*







*Ks. Alojzy Majewski P. S. M.*

216348

# CZTERY LATA WŚRÓD MURZYNÓW

NAPISAŁ

X. ALOJZY MAJEWSKI P. S. M.

1363

216



WARSZAWA  
WYDAWNICTWO KSIĘŻY PALLOTYŃÓW  
1928.



~~1928; 1559~~

216.348

## WSTĘPNE SŁOWO.

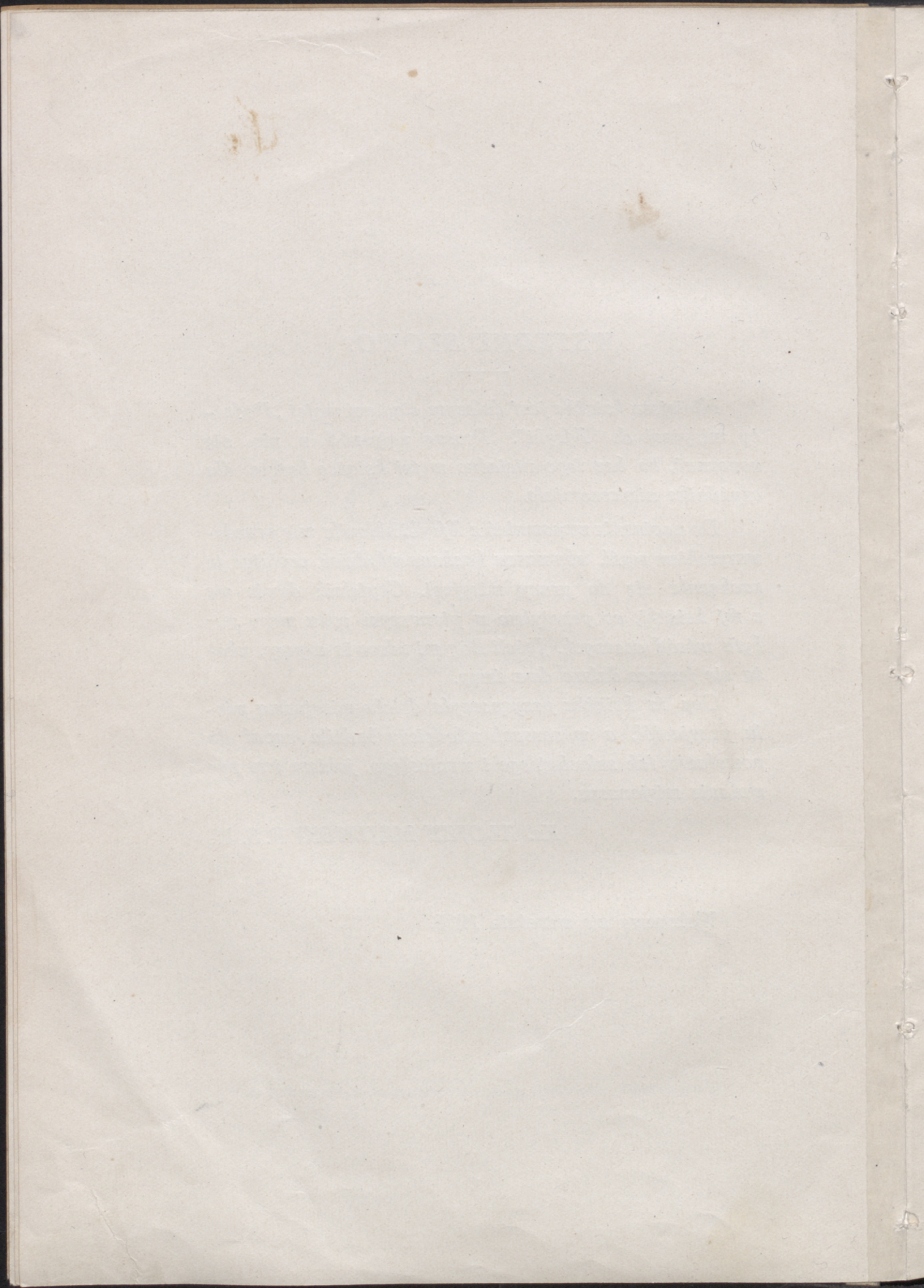
*Niniejsza książka jest dalszym ciągiem mojej „Podróży misyjnej do Afryki”. Proszę najprzód z nią się zapoznać, bo bez tego niejedno w tej książce będzie dla czytelnika niezrozumiałe.*

*Do napisania wspomnień z Afryki skłoniła mnie przede wszystkim myśl, aby nasza kochana młodzież, czytając je zachęcała się do pracy misyjnej. Czytelnik dowie się z tej książki, co przeżyłem w pierwszym roku mego pobytu wśród czarnych. Jeżeli Bóg mi zdrowia użyczy, ukaza się jeszcze dalsze dwa tomy.*

*Oby ta książka przysporzyła dziełu misyjnemu wielu przyjaciół, a w sercach młodzieży budziła zapal do powołania tak szlachetnego i wzniosłego, jakim jest powołanie misjonarza.*

*Ks. ALOJZY MAJEWSKI P. S. M.*

*Warszawa we wrześniu 1928.*





## I.

### PIERWSZE CHWILE NA ZIEMI AFRYKAŃSKIEJ.

*Port Wiktorja. — Czarna town. — Szynekownia murzyńska. — Chata murzyńska. — Ogród botaniczny. — Laboratorja, oranżerje. — Flora afrykańska. — Grota. — Stosunki religijne w Wiktorji. — Zachód słońca.*

Krótko po czwartej z południa poraz pierwszy dotykam stopą ziemi afrykańskiej.

Pragnieniem mojem jest zbliżyć się przede wszystkim do jej mieszkańców. Muszę jednak bardzo liczyć się z czasem, bo nad równikiem słońce punktualnie wschodzi o godzinie szóstej rano, a o szóstej po południu zapada w falach oceanu. Nie masz też tu naszych zmierzchów, podczas których zażywa się spacerów w chłodzie wieczornym, lecz bezpośrednio po zachodzie nastaje ciemna noc, zwłaszcza gdy księżyc późno ukazuje się na niebie.

Mam więc zaledwie dwie godziny czasu na złożenie Afryce pierwszej wizyty.

Niewiele zajmuje mnie widok wznoszących się wzdłuż wybrzeża biało pomalowanych domów handlowych, ozdobionych werandami i masztami, z których dziś zwieszają się flagi, witające przy-

bycie Eleonory — mało zwracam uwagi na rojny tłum czarnych i białych kupców i kupczyków, opanowanych gorączką spodziewanych zysków. Wszystko to już widziałem na Madeirze, w Monrowji i w Lome.

Szybko opuszczam plac portowy, aby tylko otrząsnąć się z tego zgiełku doczesnych zabiegów. Zdążam do dzielnicy murzyńskiej.



*Port Wiktorja.*

Muszę przyznać, iż czarna „town“ \*) wcale mnie nie zachwycała. Zaraz na początku spotykam się z murzyńską szynkownią, widzę w niej czarnych mężczyzn, czarne kobiety, a nawet dzieci. Przyodziani w odzież europejską, lub w własną, rodzimą, niektórzy, zaledwie z przepaską na biodrach, piją whisky, lub wódkę i palą fajki. Kto nie ma własnej fajeczki, pożyczają sobie od sąsiada, a pociągnąwszy z niej kilka razy dymu, podaje ją drugiemu. Alkohol rozwiązuje języki i rozszerza

\*) Town — wyraz angielski, znaczy tyle, co większa wieś.

granice towarzyskiej przyjaźni, tak samo jak u nas, gdy kieliszek pocnie krążyć w gronie znajomych. Rozmowa toczy się przeważnie po angielsku.

Z chęcią pozostałbym dłużej pośród rozbawionego towarzystwa, lecz widzę, iż obecność moja nie jest pożądana dla murzynów, a już najwięcej dla właściciela szynkowni, który mierzy mnie wcale niezyczliwym okiem. Opuszczam więc niegościnne progi i udaję się w dalszą drogę.

Idę ulicą mniej więcej 10 m. szeroką, poza którą zaraz wznosi się pierwsze pasmo olbrzymich gór Kameruńskich. Żółtawa, zbliżona do koloru czerwonego ziemia, świadczy, iż wysoka góra „Mango ma loba” „Góra bogów” — wyrzucała z siebie w zamierzchłej przeszłości ogień i żar, a lava zalewała okoliczne krainy. Dziwię się, jak murzyni potrafią chodzić po tej ziemi boso. Mam na nogach mocne obuwie, a mimo to, odczuwam ucisk ostrych kamyczków przy każdym kroku. Droga pokryta pyłem, niby popiołem przepalanej ziemi, pustka otaczająca murzyńskie osiedla, brak roślinności, wszystko to sprawia przygnębiające wrażenie.

Zaglądam do jednej z chat: Skąpe światło sączy się do wnętrza przez otwarte drzwi, w chacie brak najprostszego domowego urządzenia — nie masz tam ani krzesła, ani stołu, ani łóżka.

Pustka. Z ludzi spotykam tylko kilka niewiast, kilkoro bawiących się dzieci — postacie wprost niesympatyczne. Jedna część mieszkańców udała się do portu za zarobkiem, a druga przesiaduje

w szynkowni. Z oczu i twarzy spotkanych czytamy pewną nieufność i zdziwienie, czego w ich dzielnicy szuka Europejczyk, który wyglądem swym zdradza, iż poraz pierwszy znalazł się na afrykańskiej ziemi.

Tymczasem słońce, chociaż już dobrze nachyliło się ku zachodowi, grzeje niemiłosiernie, gorące powietrze, przesycone wilgocią, tamuje formalnie oddech. Nieroztropny, wybrałem się w drogę w odzieniu europejskim, w skórzanym obuwiu, w spodniach wprawdzie białych, lecz w czarnym żakiecie. Teraz muszę za to pokutować. Pot spływa mi strugami z twarzy, bielizna i ubranie zupełnie mokre, stopy jakby w ogniu.

To Afryka! Jakże ją boleśnie odczuwam! Mam wrażenie, jakbym za chwilę miał dostać ataku febry. Czy moja ciekawość miałaby być ukarana już teraz, przy pierwszym zetknięciu się z Kamerunem?

Zegarek wskazuje godzinę piątą.

Opuszczam bez żalu czarną town, bo z pewnością dość jeszcze nacieszę się takimi widokami i śpieszę przyrzeć się ogrodowi botanicznemu, który tu założono przed kilku laty w celu podniesienia kolonjalnej gospodarki. Ogród leży po drugiej stronie portu, a prowadzi do niego piękna i starannie utrzymana aleja palmowa. Pejzaż tu zupełnie inny: Pola osuszone i uprawione starannie, zielenieją dobrym gatunkiem traw. Od morza wieje ożywczy wietrzyk; oddycham swobodniej i czuję się silniejszym.

Ogród botaniczny—to rzecz w swoim rodzaju pierwszorzędna. Jakkolwiek, z powodu braku



Widok z ogrodu botanicznego.

136 f

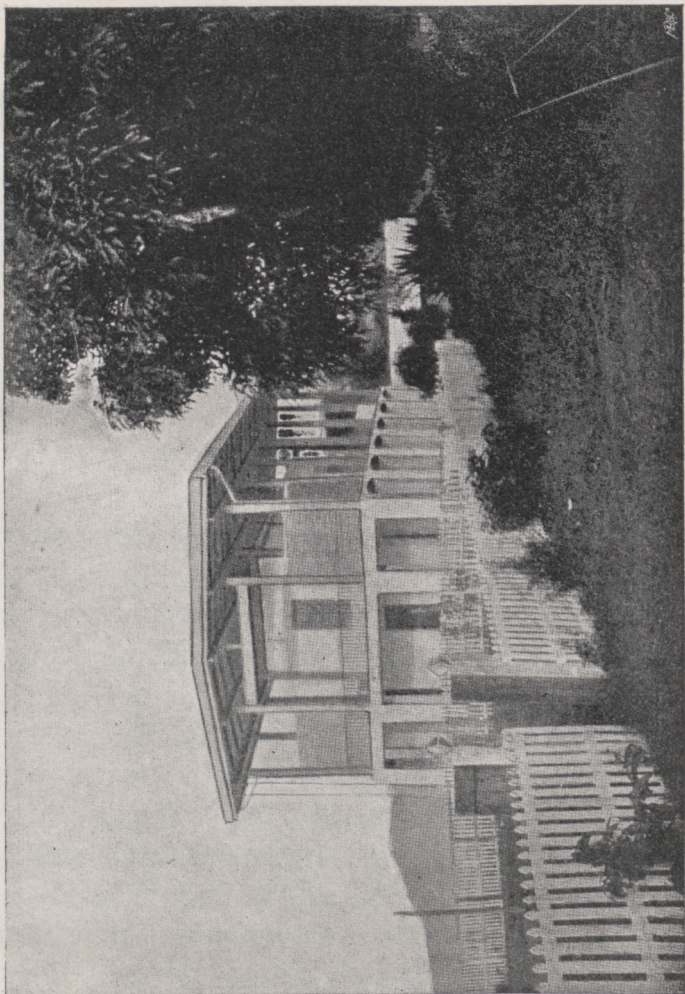
czasu nie mogłem zwiedzić wszystkiego należy-  
cie, to jednak i ten krótki przegląd wiele mnie  
nauczył.

Jakiż kontrast! Tam biedna, zacofana wieś murzyńska, tutaj nowoczesna europejska osada. Podziwiam wspaniałe gmach akademii botanicznej, liczne domy mieszkalne, zbudowane w formie will, rozległy, jakby pod różdżką czarodziejską wyrosły park, skąd prześliczny roztacza się widok na zatokę Wiktorji, na jej wysepki, zwane wysepkami piratów i aż hen na dalekie, sine, morze.

Ogród botaniczny leży na najbliższej, około 1000 hektarów liczącej nadmorskiej wyżynie, która w dalszym ciągu przechodzi w coraz wyższe terasowate wzgórza. Ziemia, zawierająca dużo wapna i soli potasowych, nadaje się wybornie do produkowania kawy, kakao i kauczuku. Pozatem pielęgnują tutaj i inne podzwrotnikowe rośliny. Całe to przedsiębiorstwo spoczywa w rękach uczonych fachowców, profesorów wyższych uczelni, chemików i ogrodników. Wielkie laboratoria, doświadczalnie, oranżerie stoją do ich dyspozycji. Prawda, iż koszta utrzymania takiego zakładu muszą być wysokie, jednak korzyści, jakie przynosi, dostarczając najlepszych nasion plantatorom i ucząc ich sposobu uprawy, są bez wątpienia daleko wyższe.

Oprócz roślin przeznaczonych do uprawy, widzę wspaniałe okazy flory afrykańskiej — potworne, kilkawiekowe, drzewa, które umyślnie pozostawiono dla ozdoby ogrodu. Nie znam ich po imieniu. Właśnie zbliżam się do takiego olbrzyma. Jest to drzewo o kolosalnych wymiarach,

potężnymi konarami sięga, zda się, w nieskończoność, a pień jego, o białomlecznej korze, tak



*Willa w ogrodzie.*

gruby, iż zaledwie 10 do 15 ludzi zdoła go objąć, spoczywa na wystających w półkole ponad

ziemią, do grubych desek podobnych, korzeniach.

Bardzo mi żal, iż czas mój jest ograniczony, bo takbym chętnie posiedział, czy w altanie, czy też w innym zakątku ogrodu.

Idąc główną aleją, znalazłem się przypadkowo w najpiękniejszym ustroniu, o którym mi już opowiadano na okręcie, mianowicie w grocie i to w grocie nie sztucznej, lecz utworzonej rękami przyrody. Nazewnątrz otaczają ją palmy, ljanya i różne krzewy, zasilane wodą z bijącego obficie wewnątrz źródła. Dziwnym trafem z samego środka sklepienia zwisa, niby lampka wieczna, czerwony kwiat orchidei.

Jakże pięknie prezentowałaby się tutaj figura Niepokalanego Poczęcia!

Klękam i odmawiam w miłym chłodzie po raz pierwszy na ziemi afrykańskiej litanję Loretańską. Może przyjdą tu kiedyś misjonarze i poświęcą to ustronie Najświętszej Marji Pannie z Lourdes.

Niestety, Kongregacja nasza nie posiada jeszcze w Wiktorji stacji misyjnej. Do tej pory nie słyszeli tutejsi murzyni słów prawdy Bożej, lecz tylko błędne nauki protestanckich sekciarzy. Już przed 50 laty zjawili się w Wiktorji baptyści, potem przybyli amerykańscy prezbiterjanie, a w końcu metodyści z Brazylii. Atoli działalność ich nie odniosła pożądaných owoców. Murzyni poradzili sobie sami na swój sposób. Dzisiaj posiadają własnego czarnego pasto-



ra i własną, rzekomo chrześcijańską wiarę, która w istocie nie wiele różni się od pogańskich wierzeń ich przodków.

Resztki prawd ewangelicznych i chrześcijańskich obyczajów, jakie jeszcze pokutują w pojęciach religijnych czarnych mieszkańców Wiktorji, gasi życie codzienne, jak to się zresztą wszędzie dzieje po wielkich i mniejszych miastach portowych. Zły przykład Europejczyków, pijaństwo, nierząd, sprowadzanie robotników z różnych pogańskich plemion z głębi Kamerunu, wszystko to nadzwyczaj ujemnie wpływa na wrażliwą i skłoną zawsze do złego duszę murzyńską. Gdyby nie brak księży, moglibyśmy tutaj zaraz rozpocząć pracę apostolską. Pan Esser, wielki przyjaciel naszej misji, oświadczył mi po dwukroć podczas podróży, iż gotów jest zaraz w Wiktorji wybudować kościół.

Chłód przy grocie taki miły, iż żał mi stąd odejść. Posiedzę jeszcze jakiś czas, choćbym się miał spóźnić nawet na okręt, tem bardziej, iż przed memi oczami rozwija się tak piękny widok, jakiego jeszcze nie oglądałem.

Tam daleko, na linji, rzekłbyś, poprowadzonej niebieskim ołówkiem, dzielącej wody od nieba, zapada słońce w otoczu złocistego pyłu i wiru iskier purpurowych; niby krąg rozpalonego żelaza. Ogniste promienie ciemnieją coraz na tafli niezmierzonej oceanu, tarcza płomienna zapada powoli i znika w głębiach morskich. Słońce już zaszło, lecz szczyty gór, pokryte śniegiem,

palą się jeszcze różowym płomieniem, którego refleksy kładą się na falach w ognistych słupach,



*Gościńiec prowadzący w górę.*

drgających przy każdym poruszeniu morskiego zwierciadła.

Jakiż malarz zdoła oddać te kolory, które teraz od zachodu rozchodzą się w przestrzeniach niebieskich, przedstawić obraz zamierającego tła?

Dzień się już kończy. Równocześnie ukazuje się na niebie jedna gwiazdka, potem zaraz druga, trzecia — coraz ich więcej. Znaęła nadchodzi tajemnicza, tropikalna, ciemna noc, cisza okrywa przyrodę, a serce me ogarnia niepojęty smutek.

Czas już największy zakończyć mą wędrówkę. W pobliżu grotty znajduje się gościniec, który biegnie od morza przez rozległe plantacje, przez góry, do miejscowości Buca, gdzie rezyduje gubernator Kamerunu, p. Putkamer. Podążam tą drogą, niebawem wsiadam do łodzi i dostaję się na okręt.



## II.

### ZNOWU NA STATKU.

*W jadalni okrętowej.—Atak febry.—Noc na pokładzie.—  
Marzenia.—Blisko celu.—Wierny przyjaciel.*

Jak to człowiek łatwo przyzwyczaja się do miejsca, gdzie dłuższy czas przebywa. Wstąpiwszy na okręt, wydaje mi się jakbym powrócił do swego domu. Kajuta to jakby mój własny pokój, meble jakby moi mili towarzysze, jakby dobrzy, starzy znajomi. Teraz pojmuję dlaczego kapitanowie wołają nieraz zginąć wraz z okrętem, aniżeli z nim rozstać się na zawsze.

Przedewszystkiem muszę się wykapać, bo tak jestem zlany potem, tak zakurzony pyłem, jakbym powrócił z kilkodniowej podróży po piaszczystej pustyni.

Po załatwieniu tej czynności spieszę do jadalni, gdzie zastaję około 20 Europejczyków — urzędników, oficerów, kupców — którzy przybyli z Wiktorji, aby zasięgnąć wiadomości z kraju, pożywić się lepszym obiadem i stosownie do swych sił finansowych pokrzepić się bombką dobrego piwa, kieliszkiem wina, czy też nawet szampa. Wszystkich ożywia złoty humor. Wesołą rozmowę co chwila przeplatają głośnie wybuchy

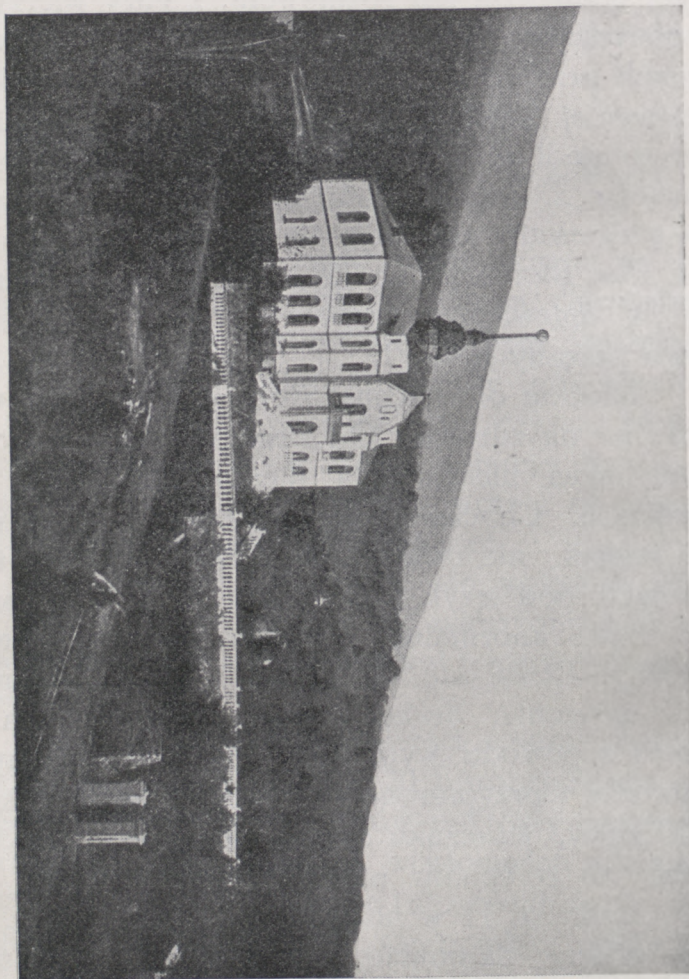
śmiechu. Cóż my znamy wobec tych bywalców kameruńskich? Co my nowicjusze możemy wiedzieć o Afryce? Przysłuchujemy się z zapałym oddechem ich rozmowom, z góry wierzymy opowieściom zaczerpniętym rzekomo z ich własnych przeżyć na czarnym łądzie, które daleko sprawniej koloryzują, aniżeli niejeden myśliwy, co to zjadł zęby na strzelaniu niezbyt groźnych zajęców. Coraz swobodniej rozwiązują się języki — o dziesiątej rozlegają się już skoczne piosenki. Pan Biernacki znajduje się w swym żywiole. W śpiewackim zespole wyraźnie rozpoznaję jego potężny bas.

Krótkie odwiedziny, złożone Afryce, nie wyszły mi na zdrowie. Odczuwam wielkie zmęczenie, jakaś niesamowita niemoc chodzi mi po kościach. Chociaż spożyłem obiad z apetytem, to jednak, nie dowierzając sobie, zakładam termometr pod język i konstatuje 37,5°, stan bądź co bądź anormalny, chociaż nie tak znowu groźny. Kładę się do łóżka i usiłuję zasnąć. Ale daremnie. Stukot i hałas pod pokładem okrętu z powodu wyładowywania przywiezionych towarów i przyjmowania produktów afrykańskich jak kawy, kauczuku i kości słoniowej, jest tak silny, iż o spaniu niema mowy.

Godzina 11 w nocy.

Śpieszę na pokład, aby się dowiedzieć o terminie odjazdu Eleonory. Lecz nikt nie wie kiedy to nastąpi, nawet sam kapitan nie może dać pewnej odpowiedzi, bo na okręcie znajduje się

większy ładunek żelaza i cementu, zamówiony przez gubernatora w Buca, po odbiór którego jeszcze się do tej pory nie zgłoszono.



*Palac gubernatora.*

Rezygnuję już z wszelkich osobistych życzeń i pocieszam się nadzieją, iż teraz, gdy nieco

ucichło, resztę przynajmniej nocy spędzę w spokoju. Ale gdzież tam, do rana nie zmrzyłem oka, bo ruch na okręcie nie ustawał. Dopiero o godzinie 8 rano opuścili afrykańscy goście salę jadalną. Tak im smakowało piwo, iż przy kuflu doczekali się białego dnia. Nareszcie około 10 godziny załoga gotuje się do odjazdu i okręt rusza z miejsca. Jeszcze raz rzucam okiem na piękny krajobraz i posyłam wyniosłym szczytom gór ostatnie pozdrowienie. Opuszczamy szybko zatokę Wiktorji i płyniemy w kierunku południowym do Duala, stołecznego miasta Kamerunu.

Ale ze mną jest naprawdę niedobrze. Koniecznie muszę wystąpić z całą energią przeciwko febrze, która nie na żarty zaczyna mnie atakować. Któryś z pasażerów poleca mi położyć się do łóżka i dobrze się wypocić. Idąc za jego radą, zamawiam u stuarda gorącą kawę, wrzątek na herbatę i flaszeczkę koniaku. Zaszywam się znowu w kajucie i piję jedną filiżankę po drugiej coraz gorętszą. Mimo tak intensywnej kuracji przez cały dzień trapi mnie jakieś nieznanne dotąd uczucie zmęczenia i apatji. Dopiero, gdy pod wieczór nastąpiły obfite poty, doznałem ulgi i zasnąłem mocno.

Obudziwszy się już późno wieczór, wyszedłem na pokład. Cudowna, ciepła i miła noc, rozjaśniona mdłym światłem księżycy, miliardy gwiazd świecących na ciemnym tle nieba, bełkot wód, uderzających o boki okrętu — przeniosły mnie w krainę rozmyślań. Siedziałem, albo raczej

leżałem na mojem krześle rozkładowem i marzyłem długo.

Czy okręt nie jest obrazem naszego życia?

Przybrany w banderje o barwach narodowych, obciążony bogatym ładunkiem, nie oglądając się na burze ani na niebezpieczeństwa, odważnie i majestatycznie pruje odmęty morskie. Tajemniczym szeptem opowiadają mu fale o śmiałych podróżach, o wielkich czynach, o osiągniętych zdobyczach, ale też o bolesnych zawodach, o śmiertelnych walkach i o grobach w przepaściach oceanu.

Podobni do okrętu przedzieramy się przez życie nie przeczuwając, ile nas czeka trudów, ile nam przyjdzie doznać zawodów i rozczarowań. Dobrze jeszcze gdy tę drogę odbywamy wpatrzeni w sztandar szlachetnych i wzniosłych ideałów, biada nam gdy ścieżki naszego żywota dyszą poziomemi celami.

I ja wraz z innymi płynę na okręcie mego życia wciąż naprzód i naprzód, raz kołysany pomyslnym wiatrem powodzenia, to znowu miotany burzami przeciwności.

Ale podobnie jak okręt prowadzi silna dłoń sternika, tak i mnie wiedzie Opatrzność Boża i podnosi na duchu w chwilach słabości i udęczenia. Czegóż mam się lękać, gdy Bóg jest ze mną? Płyn łódka moja! Po burzy nastąpi cisza, po walce wytchnienie.

\*

\*

\*



Poświata księżycy łamie się na tafli wód morskich. Cisza. Nawet żagle opadły bezsilne. Ale tam w głębi oceanu wre życie, wre zaciekle w walka o byt.

Któż policzy te wszystkie gatunki stworzeń, zamieszkujących rozległe przestrzenie morskie? Gdy jedne z nich przebywają w wyższych warstwach morza, ciesząc się światłem i ciepłem, to inne kryją się w przepastnych głębiach, dokąd nawet promień słońca nie dotrze. Tylko wysokie ciśnienie utrzymuje spoistość ich członków, a gdyby znalazły się bliżej zwierciadła wody, organizm ich rozplynąłby się tak, jak się rozplywa mgła pod tchnieniem wiatru.

Ponad tym światem mieszkańców oceanu, począwszy od potężnych wielorybów i głowonogów aż do istot najpierwotniejszego ustroju, tak licznych jak piasek morski, posuwa się okręt, kierowany ręką doświadczonego żeglarsza. Z wzrokiem utkwionym w gwiazdy, wybiera najpewniejszą drogę, która go bezpiecznie zawiedzie do portu.

I w sercu ludzkim są głębiny, w których, niby kłębowisko węzów, kryją się nieszlachetne poruszenia i żądze. Trzymajmy je na wodzy wolą, kierowaną rozumem, bo gdy puścimy je samopas, gdy ujawnią się w naszych czynnościach, znieprawią naszą duszę i zatrują nasze życie. Nam, żeglarzom płynącym do wieczności, trzeba wzrok podnieść w górę ku Chrystusowi Panu, który jest drogą, prawdą i żywotem. Za Jego

przewodem dobijemy do przystani, gdzie nie będzie ani burz, ani raf podwodnych, ani niebezpieczeństw, lecz pokój bez końca.

\*

\*

\*

W ciszy nocnej wyraźnie słyszę miarowy stuk śruby okrętowej. Podziwiam wielkość okrętu, jego konstrukcję, jego siłę. Wszystko to świadczy o twórczości rozumu człowieka.

Ale czemuż jest ten wysiłek przemyślności naszej wobec ogromu i konstrukcji wszechświata? Gdybyśmy mogli dostać się na słońce i stamtąd spoglądać na ziemię, zobaczylibyśmy ją jako jedną z gwiazd najmniejszych. A przecież ta ziemia liczy 40.000 kilometrów obwodu. Pociąg pędzący, który robi na godzinę 10 mil, objechałby ją dopiero po 3 tygodniach i to pod warunkiem, iżby nigdzie nie spoczął. Ale ileż takich gwiazd jak ziemia i stokroć od niej większych wiruje w przestrzeniach międzyplanetarnych? Gołem okiem spostrzeżesz około 10.000 gwiazd, a przy pomocy powiększających szkieł, liczba ich dojdzie do 100 milionów. Słońce, które nam codziennie przyświeca, jest milion dwieście tysięcy razy większe od ziemi, a są gwiazdy, wobec których nasze słońce jest zaledwie drobnym pyłkiem.

Jakież to ogromne światy, jakże rozległe przestrzenie! Któż pojmie ich granice? Gdzie kończy się ten wszechświat a gdzie się zaczyna?

Kula armatnia wyrzucona z ziemi z szyb-

kością 700 metrów na sekundę, spadłaby na słońce dopiero po 7 latach. Nawet światło, które w jednej sekundzie przebiega 300 tysięcy kilometrów, dostaje się z słońca do nas dopiero po 8 minutach. A z gwiazdy polarnej bieгло aż 60 lat zanim dosięgło ziemi. A są gwiazdy tak odległe, że światło ich dopiero po setkach lat przyszło do ziemi.

I pomyśleć, że to wszystko stworzył Bóg jednym słowem i tem samym słowem puścił w ruch te ogromy. Pismo św. chcąc plastycznie wyrazić potęgę Boga, mówi, że na Jego głos łamiał się lasy, a od Jego wejrzenia skały jako wosk topnieją. — „Głos pański łamiący cedry“ — (ps. 28)— „Góry jako wosk rozpułyły się przed obliczem Pańskim“ — (ps. 96).

Czemże jest człowiek wobec swego Stwórcy? Czem jego rozum, czem jego moc, wobec rozumu i mocy Bożej? Mniej niż pyłkiem. Jedno tylko jest, co mnie wywyższa ponad wszystko stworzenie, to dusza moja, dusza nieśmiertelna. Ziemia przeminie, słońce zgaśnie, gwiazdy runą, ale dusza trwać będzie wiecznie. Bóg i dusza, to jedyny przedmiot godny zabiegów i starań człowieka.

\*

\*

\*

I oto blisko już jestem kresu mej podróży, gdzie mam rozwinąć pracę nad uświęceniem tych bezcennych dusz, pozostających w mrokach poganiaństwa. Czy zdołam wypełnić należycie ten wielki obowiązek? Już pierwsze chwile mego kilka-

godzinnego pobytu na afrykańskiej ziemi ujem-



*Partia nad brzegiem morza.*

nie wpłynęły na moje zdrowie, a cóż, gdy mi

przyjdzie dłuższy czas spędzić w tej niegościnniej krainie? Przed kilku laty przybył tu jeden z naszych kapłanów pełen zapału dla sprawy misyjnej i już po czterech tygodniach spoczął w mogile. A jednak P. Bóg koniecznie wymaga od nas współpracy w przeprowadzeniu swych planów, a posługując się nami, bynajmniej nie liczy na nasze zdolności fizyczne czy umysłowe, lecz najczęściej wybiera słabe, aby się objawiła Jego moc i prawda. Toć i nasz założyciel, ks. Wincenty Pallotti nie odznaczał się, jak to mówią, żelaznem zdrowiem, lecz przeciwnie, był tak słabowity, iż nikt nie przypuszczał, aby zdołał powołać do życia tak wielkie dzieło, jakim jest kongregacja misyjna. I rzecz znamienna, że rozrost i tężyzna naszego Zgromadzenia nie przypada na czasy spokojnej i stosunkowo łatwej egzystencji jego w Europie, lecz właśnie na czasy jego działalności w Kamerunie, gdzie w najtrudniejszych warunkach rozpoczęto pracę nad nawracaniem pogan.

A więc i ja, aczkolwiek niedołężny i słaby, pójdę odważnie naprzód. Wiem, że spotkam się z trudnościami, że znajdę na mej drodze liczne przeszkody, że rozpętają się burze, wszakże staną mnie gotowego do boju z królestwem ciemności—mocą moją i tarczą będzie Bóg!

\*

\*

\*

Już pierwszy odblask zorzy błysnął na niebie i leciuchno zarysował się na srebrzystej tafli morskiej, gdy zszedłem do mej kajuty.

Wkrótce zasnąłem ukołyszany przez mego wiernego przyjaciela podróży, któremu od czterech tygodni siebie i losy swoje powierzyłem: przez okręt mój — Eleonora Woermann.

### III.

#### W DUALA, STOLICY KAMERUNU.

*Ruch na okręcie.—Wielka zatoka.—Główne molo.—Miasto Duala.—Akwa Bell.—Stacja misyjna.—Ks. Fieter.—Początki pracy misyjnej w Duala.—Polożenie katedry.—U celu.*

Z krótkiego snu obudził mnie silny ruch na okręcie. Słyszę donośne nawoływania, odgłosy szybkich kroków po schodach, korytarzach, hałas zamykanych i otwieranych drzwi. Czyżbyśmy już przybyli do Duala? Patrzę przez małe okienko kajuty, lecz, oprócz wody, nic więcej nie widzę, a okręt płynie w zwyczajnem tempie.

Ubieram się szybko i udaję się na pokład. Tutaj zastaję zgromadzonych marynarzy, którzy razem z nami wyjechali z Hamburga. Wszyscy otrzymali rozkaz przygotowania się do opuszczenia Eleonory w przeciągu pół godziny, bo niezadługo przeniosą się na własne okręty wojenne, gdzie będą pełnić służbę.

Podobno za godzinę mamy być już w porcie, a więc i dla mnie czas największy zabrać się do pakowania własnych manatków. Nie mam ich wprawdzie wiele, ale w każdym razie więcej, aniżeli poleca Chrystus Pan w ewangelji. Pako-

wanie idzie mi dość szybko, bo, przyznam się, nie posiadam wcale talentu do porządnego układania rzeczy potrzebnych w podróży. Wrzucam je bez ładu do walizy. Do niej nikt mi nie zaglądnie, a gdy jest zamknięta, czy tak, czy owak wygląda wcale przyzwoicie.

Wtem słyszę energiczne pukanie do drzwi. Otwieram. Przedemną stoi brat Konstancy, a za



*Wjazd do portu Duafa.*

nim trzech inni bracia. Do tej pory nie wolno im było, stosownie do przepisów okrętowych, odwiedzać mnie w kajucie, lecz wobec anarchji, jaka teraz nastąpiła, wszelkie różnice klasowe zostały zniesione.

„Ojciec“! wołają, „zbliżamy się do portu“! Natychmiast przystępujemy do obmyślenia najlepszego planu wspólnego ataku na główną rezydencję Kamerunu. Eleonora zbacza na lewo.



Zdala ukazuje się wąska smuga lądu, coraz wyraźniej rysuje się brzeg morski.

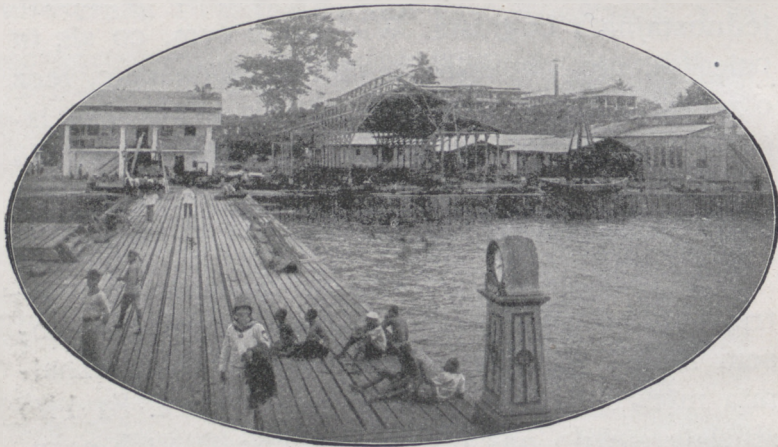
Powoli dostajemy się do wielkiej zatoki, nad którą rozsiadło się miasto Duala. Brzegi niskie, zarośnięte gęstwiną karłowatych krzaków — gór nie widać wcale, okolica, jak okiem sięgnąć, w przeciwieństwie do okolic Wiktorji, jednostajna i bagnista. Widocznie tym, co się tu osiedlili, nie chodziło o piękne położenie, lecz o zabezpieczenie się przed napaścią wroga. I, w istocie, choćby nieprzyjaciel wtargnął nawet do zatoki, zostałyby w tem oto kole z wszystkich stron zamknięty i zniszczony.

Eleonora płynie coraz wolniej, aż wreszcie zatrzymuje się mniej więcej pośrodku zatoki. Odgłosem trzech potężnych strzałów armatnich oznajmia mieszkańcom stolicy swe przybycie. Szybko zbliżają się do nas okręty wojenne. Na ich przywitanie znowu odzywają się armaty, orkiestry po obu stronach grają hymn narodowy, oficerowie i żołnierze składają sobie wzajemny ukłon. Przybyli marynarze nadzwyczaj sprawnie przesiedlają się na swe okręty.

Ale nas to już nie wiele zajmuje. Kierujemy wzrok w stronę miasta i szukamy łodzi mi syjnej, która ma nas odstawić do upragnionego celu. Tymczasem wokół Eleonory tłoczą się łodzie różnego kalibru, to motorówki, to pynasy - gośćmi: z kupcami, urzędnikami, wojskowymi, którzy przybyli z miasta, aby załatwić własne

interesy, lub odetchnąć europejską kulturą. Na pokładzie robi się rojno i gwarno.

Nareszcie spostrzegamy i naszą łódź. Łatwo ją poznać po postaciach, które ją zajmują, odzianych w białe sutanny. Wkrótce znajdujemy się wśród swoich. Witamy się serdecznie. Czarni znoszą nasze rzeczy. Szybko mkniemy po spo-



*Główne molo.*

kojnej powierzchni wody i w przeciągu 20 minut przybijamy do głównego molo.

Duala — to jakby dwa miasta: miasto europejskie i, o kilometr oddalone od morza, miasto murzyńskie. Pierwotnie murzyni mieszkali nad samą zatoką, lecz gdy Niemcy zawładnęli Kamerunem i upatrzyli sobie Duala na stolicę, przesiedlili murzynów nieco w głąb lądu, a sami usadowili się na ich miejscu.

Bądź co bądź należy przyznać, iż założone przez nich miasto przedstawia się pod każdym

względem wzorowo. W tym celu osuszono i zniwelowano wielki obszar ziemi, podzielono go na działnice, poprzecinano ulicami i ozdobiono ogrodami i skwerami. Domy są piękne, a niektóre, jak starostwo, bank kolonialny, poczta, szpital, nawet bardzo okazałe.

Tuż nad brzegiem wita nas lew wyrzeźbiony w kamieniu na granitowym postumencie. To pomnik wzniesiony pamięci jednego z pierwszych pionierów Kameruńskich, niejakiego Grawenreuta,



*Faktorje wielkich firm handlowych.*

porucznika, który poległ w walce z czarnymi góralami w pobliżu Wiktorji.

Prawdziwą ozdobę miasta stanowią rozległe zabudowania wielkich firm europejskich z Hamburga, Londynu, Danji, Szwecji, które tutaj posiadają swe faktorje. Wzdłuż brzegów morskich ciągną się dobrze utrzymane bulwary.

Z pośród 30,000 dawniejszych mieszkańców

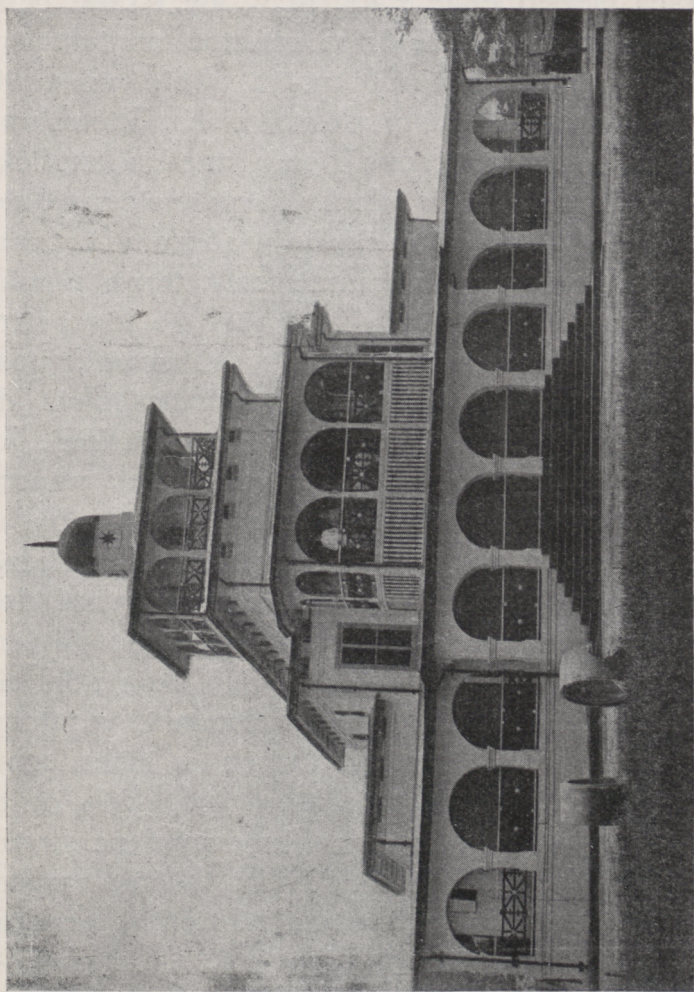
pierwotnego Duala tylko jednemu, głównemu naczelnikowi czarnych, nazwiskiem Akwa Bell, pozwolono pozostać w nowej dzielnicy, pod warunkiem, iż wybuduje sobie, stosowny do europejskich budynków, pałac. Akwa Bell zgodził się na to i słowa dotrzymał. Wzniesiony przez niego gmach, na modłę pagody indyjskiej, urządzony bogato, pochłonał wielką masę kości słoniowej, ale też ogromem swym i przepychem przewyższa wszystkie inne budowle.

Dzień dzisiejszy, jako dzień Wszystkich Świętych, nie nadaje się do zwiedzania miasta. Śpieszymy ku stacji misyjnej, gdzie nas z pewnością wszyscy z niecierpliwością oczekują. Musimy przejść gościńcem spory kawał drogi, aby dotrzeć do ostatecznego celu, bo zabudowania misyjne leżą już na terenie dzielnicy murzyńskiej. Zdaleka wita nas potężny fronton zabudowań misyjnych, które panują nad całą okolicą.

Misja nasza w Duala liczyła zaledwie 5 lat życia. Przybywszy 1890 r. do Duala, nie doznaliśmy znikąd życzliwego przyjęcia. Rząd nam nie sprzyjał, a luterscy sekciarze, którzy tutaj od dawna grasowali, patrzyli na nas nieprzychylnym okiem, obawiając się konkurencji.

Dla miłego spokoju opuścili nasi księża stolicę i rozpoczęli pracę apostołską nad rzeką Sanaga, około 30 mil w głąb kraju. Jednak już po 7 latach okazała się konieczna potrzeba założenia stacji misyjnej w Duala. Domagali się tego katolicy biali, jak również i czarni, którzy

z dalekich stron przybywali za zarobkiem do stolicy i tam się osiedlali.



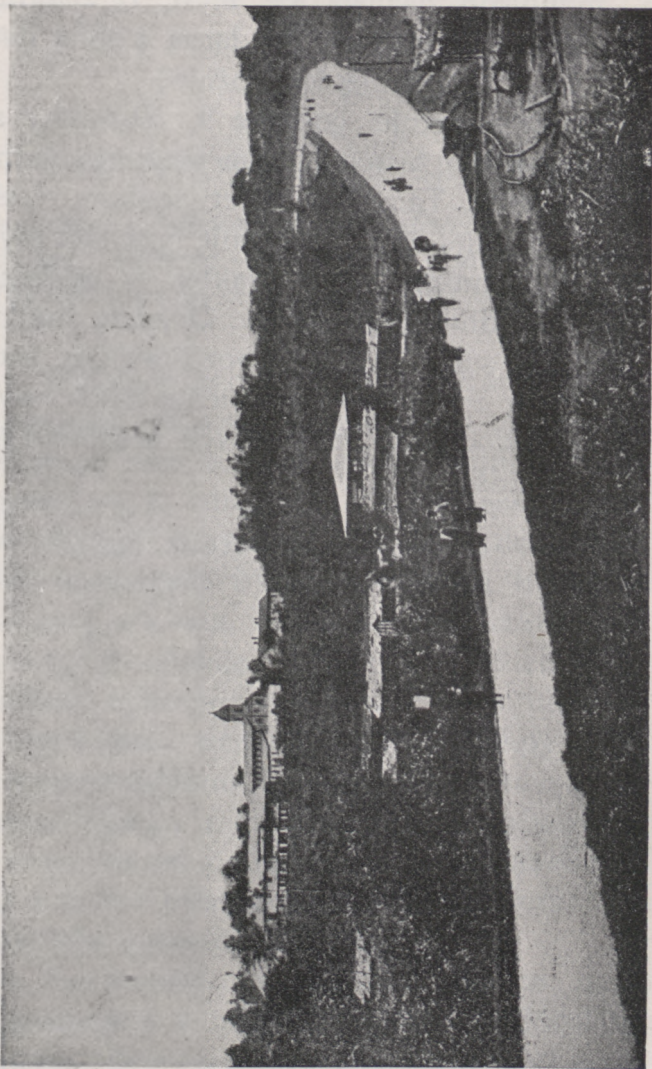
*Dom Akwy Bell.*

Największą trudność mieliśmy z wyszukaniem placu budowlanego. W dzielnicy europejskiej za żadne pieniądze nie można było dostać kawałka

ziemi, a tak samo prawie i w dzielnicy murzyńskiej. Pozostawała przestrzeń wzdłuż gościńca, łącząca miasto białe z czarnem, ale i tutaj ceny były tak wysokie, że kasa misyjna na taki wydatek żadną miarą nie mogła sobie pozwolić. Tylko apostolskiemu prefektowi, ks. Vieter'owi, przełożonemu misji, zawdzięcza katedra katolicka tak piękne miejsce, w jakim obecnie się znajduje.

Ks. Vieter, człowiek doświadczony i praktyczny, zbadawszy starannie cały teren pomiędzy obydwoma miastami, zauważył po lewej stronie gościńca parów zarośnięty krzakami, poza którym rozciągała się przestrzeń bagnista do rzeki Wuri, uchodzącej do zatoki morskiej. Jeden brzeg parowu, o glebie piaszczystej, wznosił się dosyć wysoko. Ks. Vieter chodził, badał, mierzył i wymiarkował iż tą wyniosłością będzie można niezbyt wielkim nakładem wyrównać dziuki parów i uzyskać w ten sposób wcale obszerne miejsce pod budowę. Pewnego dnia udał się do Akwa, naczelnika szczepu Duala i, w tajemnicy, nabył od niego cały teren za niską cenę. Transakcja ta, gdy wyszła na jaw, była przez dłuższy czas przedmiotem śmiechów ze strony Europejczyków. Dopiero, gdy ks. Vieter zasypał parów, gdy wyrównał i odwodnił ziemię, przekonano się, jak roztropnie uczynił. Co więcej — okazało się, iż plac nie był tak mały, jakby się wydawało na pierwszy rzut oka. Dzisiaj wznosi się na nim dość wielka katedra, szkoła dla 600 chłopców, dom mieszkalny, warsztaty, budynki

gospodarcze, a całość tonie w zieleni alej i ogrodów. Obecnie bracia nasi budują kolejkę po-



*Stacja misyjna.*

lową, aby stację misyjną połączyć bezpośrednio z portem.

Patrząc się na te zabudowania leżące pośrodku między miastem europejskim i murzyńskim, mimowoli nasuwa się myśl, iż znajdują się we właściwym miejscu, bo łączą z sobą dwie odrębne rasy i zacierają ich różnicę.

Zegarek wskazuje godzinę 9. Zbliżamy się do celu. Im bliżej kościoła, tem większe ogarnia mnie wzruszenie. Tam — w tabernaculum, czeka na mnie Jezus utajony—za chwilę powitam mych współbraci i pośród nich, jakby w rodzinie, odetchnę po długiej tułaczce. O jakże biedne, jak słabe jest serce ludzkie, pozostawione samo sobie lecz jak zdolne do poniesienia najcięższych ofiar i do ukochania najwyższych ideałów, gdy je ożywia miłość Boża.



#### IV.

### NA GŁÓWNEJ STACJI MISYJNEJ.

*Powitanie.—Nabożeństwo w Katedrze.—Murzyni chrześcijanie.—Chłopcy.—Inteligencja.—Murzyńskie mamy.—Wnętrze katedry.—Wieczór wśród współbraci.—Brat Paweł.*

Przybywamy właśnie w chwili, gdy się ma rozpocząć główne nabożeństwo. Z powodu uroczystego święta, cała stacja tchnie podniosłym nastrojem. Z odległych wiosek i szkół należących do okręgu misyjnego, przybyli dorośli i dzieci, aby wysłuchać Mszy św., która będzie odprawiona z większą, niżeli zwykle, okazałością. Obszerny dziedziniec kościelny i katedra jest formalnie natłoczona ludźmi. Z pobliskiego lasu przyniesiono wczoraj naręcza gałęzi palmowych i przyozdobiono nimi ściany świątyni, domu mieszkalnego i szkoły. Liście palmowe są tak wielkie, iż od ziemi sięgają aż do dachów. Z wieży katedry powiewają chorągwie, przy drzwiach kościoła ustawiła się orkiestra.

Serdeczne przywitanie, jakim darzą nas współbracia i czarni, nie mało podnosi mnie na duchu. Zewsząd słyszę chrześcijańskie pozdrowienia: „Niech będzie pochwalony Jezus Chry-

stus!“ — widzę miłe i uśmiechnięte twarze, jasne oczy murzynów, przybranych w odświętne szaty. Patrzę na nich ze zdziwieniem. Jakże są niepo-



*Stacja misyjna w stroju świątecznym.*

dobni do tych, których wczoraj widziałem w Wiktorji. Czyżby to byli inni murzyni?

Nie mała to dla mnie pociecha, bo chociaż misjonarz nie przyjechał do Afryki napawać się

pięknem widoków, to jednak i taki взгляд, jak estetyczny wygląd parafjan, o ile ułatwia mu i uprzyjemnia twardą apostolską pracę, nie jest mu obojętny.

Po krótkiej adoracji Najśw. Sakramentu i po półgodzinnej pogawędce, spędzonej pośród współbraci, wracam do katedry, aby, przy bocznym ołtarzu, odczytać cichą Mszę św. Równocześnie przy głównym ołtarzu odprawia się uroczysta suma.

Nie będę się spowiadał z uczuć, jakie nurtowały wówczas mą duszą. Zrozumiałem, dlaczego Europejczycy, nawet tacy, co nie wiele posiadali wiary, wstąpiwszy do kościoła, płakali z rozrzewnienia, gdy się osobiście przekonali, jak wiara katolicka potrafi uszlachetnić biedne, zdziczałe plemiona murzyńskie.

Na chórze śpiewają uczniowie pod dyрекcją brata—nauczyciela na cztery głosy. Tłumy czarnych w skupieniu słuchają Mszy św. Widać z ich zachowania się, iż rozumieją wielkość i powagę chwili. Do komunji św. przystąpiło wielu mężczyzn i kobiet. Po błogosławieństwie cały kościół podjął rozpoczętą przez kapłana pieśń: „*Tantum ergo*“. Zgodne w rytmie tysięczne głosy zlały się w jeden potężny akord. Pieśń przewalała się po nawach i kaplicach, płynęła pod wysokie sklepienie i biegła daleko w przestrzeń poza mury świątyni.

Nabożeństwo zakończyło się pieśnią do N. Panny Marji, śpiewaną również przez wszystkich

w języku rodzimym. Wiosna, która się tutaj właśnie rozpoczęła, złożyła swemu Stwórcy, co tylko miała najpiękniejszego. Prześliczne kwiaty, o pysznych barwach, jakich tylko południowe



*Po nabożeństwie.*

słońce użyczyć może, ozdabiają tabernakulum, boczne ołtarze i wielką statwę Najśw. Marji Panny. Radość przepęlnia me serce, z duszy wyrwa się do Boga, Pasterza dusz i najwyższego

Pana zniwa — gorąca modlitwa: „O Panie, daj mi dusze nieśmiertelne i użyż łaski zupełnego poświęcenia się dla dobra tych nieszczęśliwych



*Chłopcy.*

narodów, co przez wieki musiały czekać na Twe zmiłowanie!”

Chociaż bardzo jestem zmęczony i wszyscy nalegają na mnie, abym parę godzin odpoczął, to jednak po obiedzie znowu idę między czar-

nych. Niepokoi mię myśl czy, przypadkiem, pod wpływem pierwszych wrażeń, nie osądziłem ich zbyt pochlebnie.

Ale nie — nie omyliłem się wcale. Murzyni prezentują się dodatnio, zwłaszcza chłopcy w swych strojach narodowych, bardzo mi się podobają. Noszą w różnych kolorach wełnianą koszulę, na nią zarzucają szeroką chustę, którą przewiązują pasem i układają w fałdy, sięgające do kostek. Tego rodzaju odzież nadaje postaci formę lekką i smukłą. Bogatsi przywdziewają biały żakiet, albo też przewieszają przez prawe ramię kosztowną togę, co wygląda nadzwyczaj malowniczo.

Chłopcy odznaczają się prostotą i otwartością. Toteż można z nimi szczerze porozmawiać. Rozmowa toczy się zazwyczaj po angielsku, albo po niemiecku, bo w szkołach tutejszych język niemiecki jest obowiązkowy. Mówimy do siebie przez „ty“. Temat, zwłaszcza z początku, zawsze jest ten sam: „Jak się nazywasz?“ „Ile masz lat?“ „Kiedy wyjechałeś?“ „Jak długo byłeś w drodze?“

Mimo banalnej treści rozmowa z chłopcami idzie gładko, za to ze starszymi, zwłaszcza z czarną inteligencją już trudniej się dogadać. Są to panowie, zwykle przybrani z europejska, którzy z góry patrzą na swych mniej wykształconych braci. Lecz tę trudniejszą konwersację, z murzyńską śmietanką, zostawmy na później.

W kościele rozpoczynają się nieszpory. Zasiadam do ławki i staram się odmawiać brew-



*Inteligencja.*

jarz. Mówię „staram się“, bo czarne postaci, które zapełniają kościół, odrywają moją uwagę od modlitwy. Najwięcej interesują mię mamy

murzyńskie. Każda zatknęła sobie poza uchem w gęstą czuprynę fajeczkę, a wiele z nich trzyma swą najmłodszą pociechę albo na rękę, albo też dźwiga ją na plecach w zawiniątku. Od czasu do czasu zerknie któreś ku mnie i poufale się uśmiechnie, Nie dziwię się jej wcale, bo i ja też ulegam uprzykrzonej ciekawości i bynajmniej nie świecę lepszym przykładem.

Nieszpory śpiewają w tekście łacińskim naprzemian. Jeden wiersz śpiewa chór, a drugi zgromadzeni wierni. Ponieważ wszyscy uczęszczali do szkoły, albo też korzystali przez dłuższy czas z nauk katechumenów, dlatego psalmy umieją po większej części na pamięć. Po nieszporach odbywa się jeszcze krótka katechizacja, poczem powoli opróżnia się kościół, a wierni śpieszą do swych chat, ocienionych palmami i bananami.

Teraz mam dogodną sposobność przypa-  
trzeć się bliżej katedrze. Architektem tej pięknej świątyni jest sam ks. prefekt, a wykonawcami jego planu nasi pracownicy bracia. Nad wielkim ołtarzem wznosi się wspaniały baldachim, wykonany własnoręcznie przez ks. prefekta. Kościół wzniesiony w stylu romańskim, posiada trzy nawy. Główna nawa przybrana jest dzisiaj zielenią, a w nawach bocznych porozwieszano liczne obrazy, przedstawiając różne zdarzenia ze starego i nowego zakonu. Jest to nadzwyczaj praktyczny sposób zapoznawania murzynów z główniejszymi prawdami wiary. Na jednym z nich widzę wymalowanego diabła, któremu czarni, kierując się



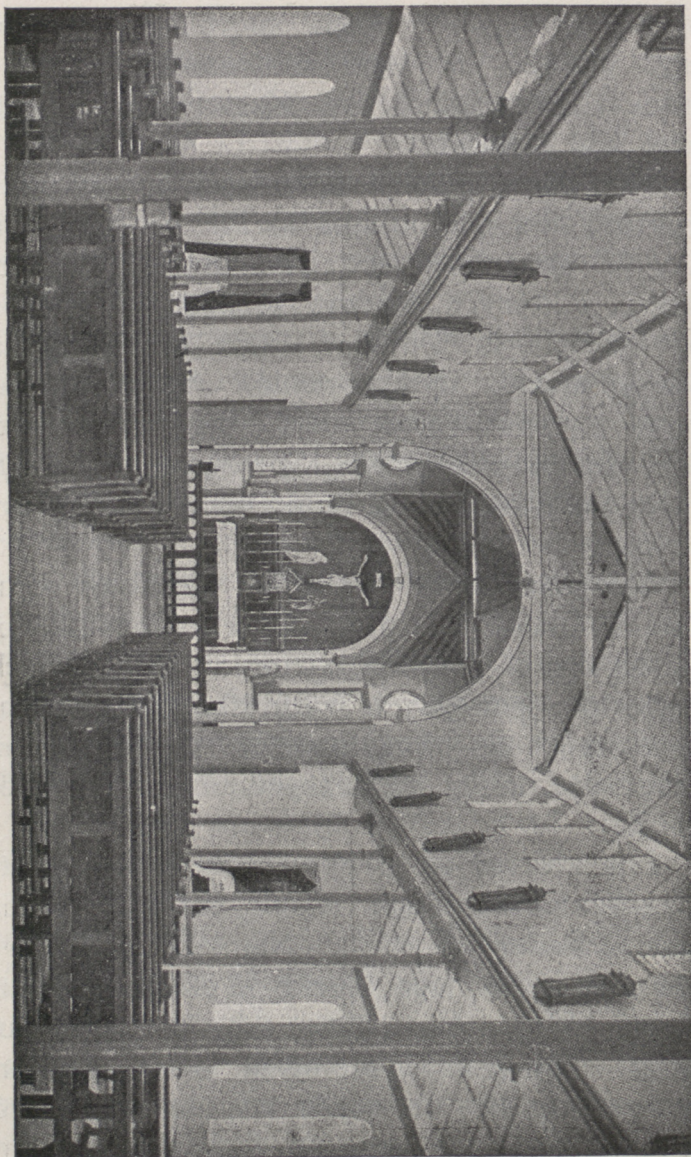
naiwną do tego kusiciela niechęcią, wydłubali oczy. Obrazu umyślnie nie naprawiono, aby świadczył, że djabeł i w Kamerunie traci już grunt pod nogami.

Absyda, w której się mieści wielki ołtarz, strukturą swą przypomina wielkie bazyliki rzymskie. W oknach presbiterjum umieszczono trzy witraże, z których boczne przedstawiają patronów kościoła św. Piotra i Pawła, środkowy zaś, poza ołtarzem, ukrzyżowanie Chrystusa Pana i stojącą pod krzyżem Najśw. Marję Pannę, wraz ze św. Janem ewangelistą. Sporządzono je w Moguncji nad Renem, na polecenie i koszt dobrodziejów naszej misji.

Szczęśliwy dobór kolorów, harmonja w pomiarach, prawdziwie artystyczne wykonanie—nadaje tej części kościoła tajemniczy urok, zachęcający do pobożnych rozmyślań. Zachodzące słońce rzuca na okna ostatnie swe promienie i kładzie je, jakby na pożegnanie, u stóp Zbawiciela.

I ja klękam na stopniu ołtarza. Tak mi tutaj zacisznie, tak błogo. A tyle mam do pomówienia z Panem Jezusem. Najpierw muszę Mu podziękować za Jego opiekę w czasie podróży, a potem błagać Go usilnie, aby trwał ze mną i łaskawie błogosławił me myśli, słowa i zamiary.

Teraz śpieszę do mych współbraci, bo tak mało do tej chwili poświęciłem im rozmowy. Na dworze jeszcze widno, a wszędzie już pozapalano lampy, jakby to był wieczór. Co to zna-

*Wnętrze katedry.*

czy? Dowiaduję się o tem w kilku minutach:  
Ledwie usiadłem na werandzie, gdy równocześnie

z zachodem słońca robi się ciemno. Zegar właśnie wskazuje godzinę szóstą.

Towarzystwo nasze składa się z czterech księży i dziewięciu braci. Ks. prefekt Vieter jest nieobecny, bo zastępuje w Kribi jednego z księży, który zachorował. Dowiedziałem się, że właśnie tam, w Kribi, obejmę obowiązki duszpasterskie. W tych dniach ma nadejść dla mnie formalna nominacja.

O godzinie 9-tej udajemy się na spoczynek. Przedtem jednak zażywam gram chininy, obowiązkowe lekarstwo przeciw febrze, sporządzone w małych pigułkach, które bierze się w zęby, popija herbatą i jak najprędzej połyka, aby uniknąć posmaku silnej goryczy.

Przed ułożeniem się do snu składa mi jeszcze wizytę mój rodak, brat Paweł Wójcik, stary Kameruńczyk. Zaniepokoiła go bladość twarzy mej wywołana zmęczeniem z powodu podróży, więc przyszedł mnie pocieszyć i uspokoić, jak troskliwa matka i zapewnić, iż w Kamerunie nie jest tak źle i nie niebezpiecznie, jakby się to na pierwszy rzut oka wydawało.

Mimo obaw oddanego mi brata Pawła, zasypiam natychmiast. Widocznie nic mi nie brakuje i ufam, że i nadal będę się cieszył czerstwem zdrowiem.

## V.

### U SIÓSTR PALLOTYNEK.

*U Sióstr Pallotynek.—Spacer poranny.—Czarne Duala.—Przedsiębiorczy starosta.—Drakońskie ukazy.—Nowożytna osada murzyńska.—Przeszkody w wychowaniu.—Częsta Komunja św.—Aniołowie w postaci ludzkiej.*

Nazajutrz, w niedzielę, udaję się wczesnym rankiem, wraz z bratem Wójcikiem, do zakładu Sióstr Pallotynek w Mukuri-town, gdzie mam odprawić Mszę świętą. Droga prowadzi przez środek czarnego miasta Akwa-town. Akwa, jak już wspomniałem, to nazwisko głównego naczelnika szczepu, a Mukuri jest nazwisko naczelnika niższego rzędu. Dla mnie, jako dla nowicjusza, spacer ten sprawia prawdziwą przyjemność. Po raz pierwszy w życiu oglądam większą osadę murzyńską. W drodze nie spotykam żywej duszy. Murzyni albo jeszcze śpią, albo też kryją się w chatach, bo opuszczają swe gniazda, dopiero gdy słońce już dobrze wzniesie się na niebie. Z rana odczuwają chłód, gdy mnie już po kilku minutach marszu pot oblewa.

Czarne miasto Duala przechodzi to ciekawe koleje: Murzyni, jak to zaznaczyłem, mieszkali pierwotnie nad samym brzegiem morskiej zato-

ki, dopiero z polecenia rządu osiedlili się później, nieco dalej od morza w głębi kraju. Z początku nikt o nich się nie troszczył. Budowali się wedle upodobania, bez składu i ładu, jak im stary obyczaj dyktował. Wokoło chat uprawiali banany i plantę, dróg nie mieli żadnych, wystarczały im wąskie ścieżki, pełne błota, dziur i śmieci. Wieś murzyńska była nie-dościgłym wzorem niechlujstwa.

Zdarzyło się, iż zjechał do Kamerunu starosta, któremu stosunki te, urągające najprostszym zasadom higieny, zupełnie nie przemawiały do przekonania. Powiedział sobie: dlaczego murzyni mają pozostawać w tak opłakanych stosunkach, dlaczego nie mają nauczyć się porządku i żyć po ludzku, a ponieważ był człowiekiem przedsiębiorczym i energicznym, myśli swe natychmiast zamienił w czyn. Najpierw sporządzono na papierze najdokładniejszy plan przy-



*Siostra i dwie dziewczynki murzyńskie.*

szłej osady murzyńskiej. Wykreślono jej granice, podzielono na symetryczne dzielnice, oznaczono główne i boczne ulice, rynek, place i ogród miejski. Wkrótce potem udali się inżynierowie do wioski i tam wytyczono palikami jak najściślej wszystko, co uplanowano w biurze, bez względu na stojące chaty i uprawne pola. W oznaczonym dniu miała się rozpocząć praca, a co najciekawsze, sami murzyni mieli dokonać tego dzieła. Powstał lament, jakby miał nastąpić koniec świata. Zgromadzono się na naradę i powzięto uchwałę, iż żaden murzyn do zniszczenia owej osady nie przyłoży ręki.

Tymczasem stała się rzecz nieoczekiwana.

Gdy w oznaczonym dniu czarni odmówili posłuszeństwa, przymaszerowała cała załoga wojskowa stołecznego miasta wraz z policją. Przywódców siejących niezadowolenie zaaresztowano, a ludność bez większej trudności, została zmobilizowana i zaprzęgnięta do pracy. Co murzynom, a nawet niektórym Europejczykom wydawało się niemożliwe, załatwiło się w kilku dniach. Dawna town, uświęcona zwyczajem i tradycjami przodków, znikła z powierzchni ziemi, a na jej miejscu powstała nowożytna, o szerokich ulicach, osada. Śmiecie, błoto, wyboje, znikły bezpowrotnie, tylko szkielety zburzonych chat leżały wzdłuż drogi, a pomiędzy nimi usychały wykopane, lub ścięte palmy i więdły banany.

Ale nie sztuka zburzyć! Murzyni musieli natychmiast przystąpić do wzniesienia nowych do-

mów i to nie byle jak, lecz w porządku, według linii i w ten sposób, aby między wytyczoną ulicą, a domem można było założyć ogródek. Solidniejsze domy stawiano w powolniejszym tempie, a ich właścicielom dawano w nagrodę lepsze i obszerniejsze place, które podnosiły wartość i piękność budynku.

Mimo wszystko, niezadowolenie czarnych obywateli rosło coraz więcej, tak iż nasi księża musieli użyć całego swego wpływu, aby ludność uspokoić. Niedługo jednak trwała burza: Murzyni, przekonawszy się, iż te rzekomo drakońskie ukazy miały wyłącznie ich dobro na celu, nietylko przestali się buntować, lecz, co więcej, sami, nieraz wielkim nakładem, poczęli urządzać swe domostwa na modłę europejską.

Ludzie ci są jak dzieci. Trzeba ich brać za kark i przymuszać do lepszego życia. Jeszcze kilka lat, a czarne miasto Duala będzie należeć do najwzorzorszych miejscowości na wybrzeżu zachodniej Afryki.

Droga, prowadząca do zakładu Sióstr Pallotynek jest tą samą, którą wczoraj zdążyłem do naszej rezydencji. Dawniej trzeba było krążyć około nędznych bud murzyńskich, przeciskać się przez niechlujne ścieżki, grzęznąć w błocie, przeskakiwać kałuże — dzisiaj idzie się po niej wygodnie, jedzie się rowerem, lub autem.

W przeciągu 25 minut stajemy u celu. Zakład sam jest dosyć obszerny. Obok wzniesiono kaplicę, a poza nią dalej widać skromne zabu-



*Ogród palmowy.*

dowania gospodarcze. Cały ten kompleks budynków obsadzono palmami, które teraz, po porze deszczowej, zachwycają oko świeżością i delikatną zielenią.



Niedaleko od wejścia założono ogród warzywny. W wielkim kurniku, otoczonym siatką drucianą, spaceruje dość liczna rodzina kurza z kogutem na czele. Na poręczy werandy siedzi papuga, bez łańcuszków na nóżkach, zupełnie swobodnie, wita nas poważnym ukłonem. Sądziłem, że wygłosi na moją cześć bodaj krótką przemowę. Lecz nic z tego. Widocznie nie jest jeszcze należyście obyta z europejskimi formami towarzyskimi.

Zato Siostry przyjmują nas z niekłamana serdecznością i zasypują gradem uprzejmych pozdrowień.

Po odprawieniu nabożeństwa zwiedzam zakład, w którym około 60 dziewcząt murzyńskich pozostaje pod opieką Sióstr, a drugie tyle kobiet i dziewcząt przychodzi na naukę z miasta. Rozmawiam z nimi i przypatruję się im z uwagą. Dowiaduję się, iż połowa



*Na werandzie.*

przyjęła chrzest święty, reszta to katechumenki.

Zauważyłem między nimi typy, należące do różnych plemion. Dziewczęta tutejsze, ze szczepu Duala, odznaczają się ciemną, a nieraz czarną, jak węgiel cerą, gdy inne, pochodzące z głębi lądu, posiadają jaśniejszą barwę skóry i przyjemniejsze rysy. Atoli wszystkie pozbawione są tej miękkości i subtelności, właściwej kobietom Europy.

Dusza ich, przesiąknięta najgrubszym materja-  
lizmem i zmysłowością, nie zdołała wyrzeźbić na  
ich} twarzy stygmatów, zdradzających myśl wyższą  
i szlachetniejsze uczucia. Miejmy jednak nadzieję,  
że dobre} wychowanie, łaska Chrztu św., Komunja  
św. i nabożeństwo do Najśw. Marji Panny pod-  
niesie te poniżone córki Ewy do godności praw-



*Siostry Pallotyunki z wychowankami przed domem mieszkalnym.*

dziwych dziewic chrześcijańskich. Już teraz przy-  
chodzą wieści, zwłaszcza ze starszych okręgów  
misyjnych o licznych powołaniach dziewcząt mu-  
rzyńskich do zgromadzeń misyjnych. Wraz z czy-  
stością i niewinnością serca odbije się na ich twa-  
rzyczkach z pewnością piękność dzieci Bożych,  
i znikną sromotne ślady pogaństwa.

Praca Sióstr tutejszych napotyka na wielkie  
przeszkody, tak z powodu społecznego stanowiska

murzyńskiego dziewczęcia, jak też z powodu jej trudnego charakteru.

Ojciec uważa swą córkę za towar, za który, w wypadku małżeństwa, otrzyma wysokie wynagrodzenie, więc też niechętnie pozwala jej na pobyt w zakładzie misyjnym, grożący utratą spodziewanych zysków. Oprócz tego trzeba mieć dużo cierpliwości, dużo dobroci, dużo wyrozumiałości, aby murzynkę przyzwyczać do regularnego trybu życia i zasiać w jej pogańskie serce ziarna cnót chrześcijańskich. Gruntowna zmiana duchowa czarnych dziewcząt następuje zwykle dopiero po pierwszej Komunii św. Tu w Afryce widzi się też, jak błogie owoce przynosi częsta Komunia św., którą swego czasu tak gorąco zalecał Ojciec św. Pius X. Zaiste bez częstej Komunii św. nawrócenie narodów murzyńskich byłoby nie do pomyślenia.

Ale już czas najwyższy pożegnać nasze dzielne pomocnice. Jakże każda z nich wycieńczona! Cera ich jakby przezroczyta, w białych habitach więcej są one podobne do istot nie z tego świata. I jest to poniekąd prawda. Każda Siostra misyjna jest dla czarnych istotą nadziemską, — aniołem w postaci ludzkiej.



*Dziewczę murzyńskie.*

## VI.

### PRZECHADZKA NIEDZIELNA.

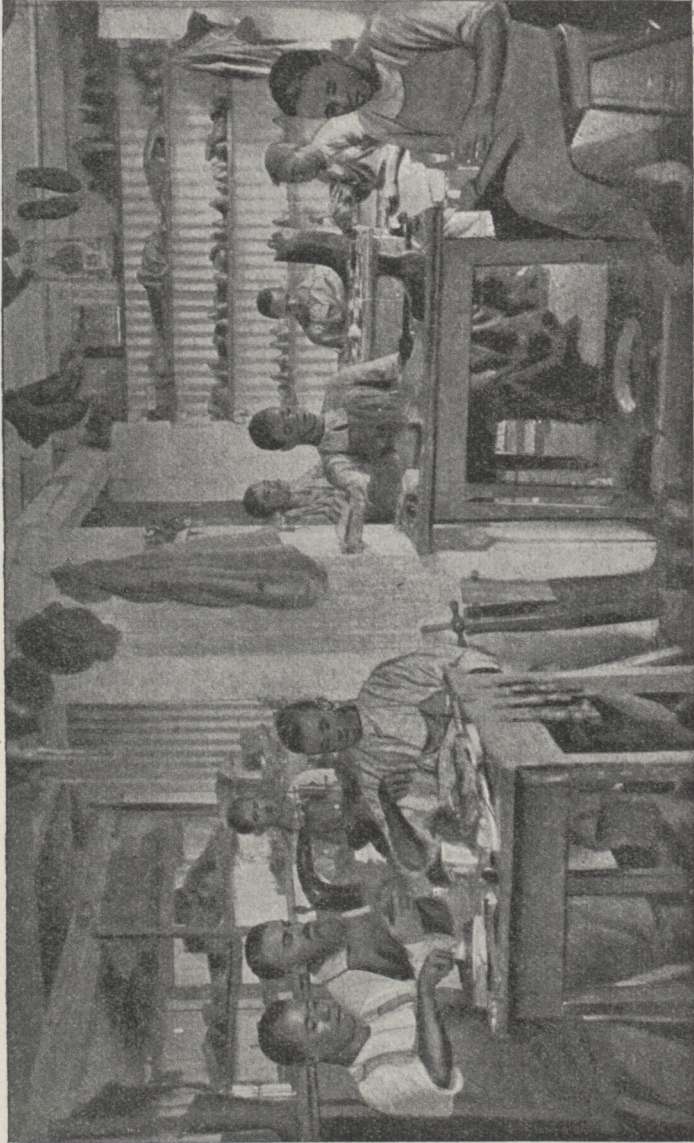
*Szkola. — Internat. — Warsztaty. — Kunszt szewski. — Kraj poetów i filozofów. — Czarna elita. — Czarne piękności. — Strój narodowy. — Miasto. — Mieszkania Europejczyków. — Bulwar nadmorski. — Hotel.*

W Duala cieszy mię wszystko — piękny kościół i uroczyste nabożeństwa, dobre serca parafjan, ale, najwięcej, prawdziwie braterska miłość, jaką mnie otaczają moi współbracia.

Brat Wójcik jest moim stałym towarzyszem. Oprowadził mnie po całej stacji. Zwiedziłem szkołę, internat dla chłopców, mieszkania czarnych nauczycieli i warsztaty.

Nie zaniedbał też pokazać mi swej własnej pracowni obuwia, przyczem zapewniał mnie, iż murzyni najchętniej uczą się szewstwa, że przepadają za nauką tego rzemiosła. Wywołuje to we mnie pewne niedowierzanie, bo skąd ta sympatja murzynów do butów, które w gorącym klimacie sprawiają mu formalną mękę? Ale niech mu P. Bóg sekunduje. Co do mnie, to już dla samej przyjaźni, jaką żywię dla brata Pawła, będę protegował między czarnymi kunszt szewski.

Po południu wybieramy się obydwaj do



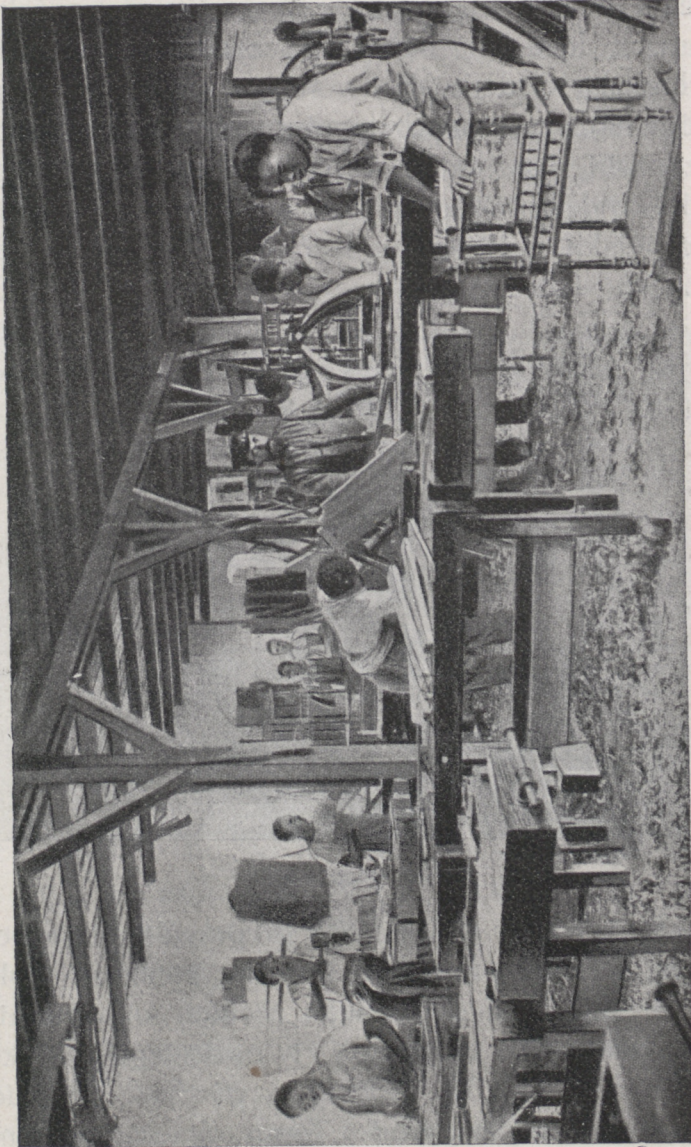
Warsztat szewski.

europejskiego Duala, aby poznać wielkomijskie życie stolicy Kameruńskiej. Tym razem z pewnością przechadzka już nie wyciśnie ze mnie tyle potu, co wczoraj i przedwczoraj, bo już włożyłem na siebie afrykańską odzież. Jaśnieję cały niepokalaną bielą: biała sutanna, biały hełm, białe obuwie, tylko broda i wąsy, które, ku memu niekłamanemu zadowoleniu świetnie się rozwijają, są czarne. Pójdziemy około czwartej po południu, bo dopiero wtedy zmniejsza się nieco upał.

Tymczasem idę na werandę i spoglądam na świat Boży, na miasto, na zatokę, na dalekie morze. Jakoś dziwnie skłonny stałem się do marzeń. Na okręcie spędzałem nieraz całe godziny w zadumie. Wczoraj podczas poobiedniego spoczynku wzrok mój błąkał się po lazurowych przestworzach nieba, po wodach zatoki, po okrętowych masztach, po białych dachach domów miejskich. Leżałem długo zajęty mojami myślami. Jakimi,—sam nie wiem. Podobno murzyni, którzy po raz pierwszy przybyli z głębi kraju i zobaczą morze, całymi nieraz godzinami siedzą nad brzegiem i patrzą bezmyślnie w dal.

Sądzę, że i mnie widok tropikalnego nieba i złocistych fal morskich, bujnej przyrody, usposabia marzycielsko. Kamerun — to widocznie dobry kraj dla poetów i filozofów. Ponieważ jednak nie jestem ani jednym, ani drugim, korzystam z uprzejmości brata Pawła i śpieszę z nim do miasta.

Dopiero w godzinach popołudniowych, mia-



*Warsztat stolarski.*

nowicie między czwartą a szóstą, można się spotkać na ulicach miejskich z czarną elitą murzyńską. Murzyn lubi się stroić, puszyć i spacerować. Zwłaszcza w niedziele i w święta można go oglądać w najrozmaitszych kostjumach, poczynawszy od przepaski buszmana, aż do dobrze skrojonego fraka wykwintnego modnisią. Przeważa odzież europejska, a kogo nie stać na taki zbytek, ten z żalem siedzi w domu.



*Szkola.*

Murzyńska promenada to prawdziwe widowisko: gdy jedni dopiero stawiają pierwsze kroki na terenie dystyngowanego świata, w starannie zaprasowanych spodniach i ostatniego krzyku mody żakietach, to drudzy, z pewnością siebie, kroczą dumnie naprzód. Temu wysoki, sztywny kołnierz sięga aż po uszy, inny trzyma laseczkę



w ręce, ale nie wie, co ma z nią zrobić, tamten znowu tak ostrożnie stawia po bruku w ciężkie obuwie uzbrojone stopy, iż zdaje się, za chwilę syknie z boleści. Może właśnie ta okoliczność wzbudza w sercu murzyna niezrozumiałą miłość do kunsztu szewskiego, iż szewc artysta może białemu i czarnemu bezkarnie dokuczyć.

Gdy mężczyźni ostatecznie nieźle się prezentują w strojach europejskich, to murzynki wyglądają w nich monstrualnie. Czarna piękność w bucikach na wysokich obcasach, opięta gorsetem, przykryta kapeluszem o szerokiej kryzie, ozdobionym obfitym pękiem kwiatów — to istna karykatura.

Jedyną stosowną odzieżą dla murzyna jest jego strój narodowy, a więc długa, do kostek spadająca w fałdach tkanina, przewiązana na biodrach pasem. Nasze cywilizowane szczegóły garderoby: pumpy, rajtki, smokingi etc. etc. w istocie nie odznaczają się pięknnością, a jeśli nam się podobają i nieraz wywołują w filisterskich głowach niezrozumiałą pychę, to tylko dlatego, żeśmy się do nich przyzwyczaili. Jakąż powagą i godnością darzy np. taka toga rzymska, lub sutanna, którą kościół dla swych kapłanów bez zmiany z zamierzchłych czasów zachował. Dlatego misjonarze zawsze się starali o to i do dzisiaj się starają, aby czarni nie porzucali lekko-myślnie rodzimych szatek. Niech je upiększą, udoskonalą, ale niech ich nie zamieniają na komiczne fraki i sterzące, niby kominy, cylindry.

Zdążamy główną ulicą, spotykając co chwila nadzwyczaj zabawne figury. Oto dżentelmen—małżonek prowadzi pod rękę swą drugą połowę, opierającą wdzięcznie kędzierzawą główkę o jego ramię.



*Czarny dżentelmen z małżonką.*

To znowu dwaj panowie, przybrani w lśniące cylindry i gustowne żakiety, przewracając białkami oczu, kokietują przechodzącą czarne pięk-

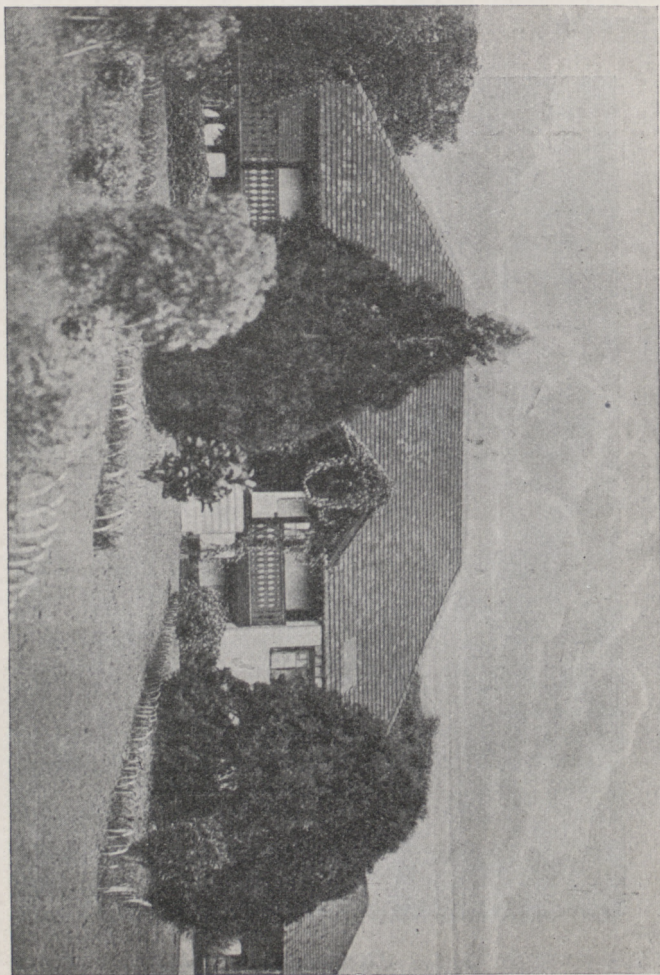
ności. Z ruchów ich można poznać, iż nie od dzisiaj porzucili rodzinną odzież. Brat Paweł tłumaczy mi, że to nie murzyni kameruńscy, lecz obywatele z kolonii angielskiej, z miasta Lagos,



*Dżentelmani.*

co długie lata spędzili w Londynie. Panowie tacy podróżują wzdłuż wybrzeży, celem załatwienia różnych interesów kupieckich, a w wolnych od

zając chwilach, uważają za swój obowiązek urządzić promenadę po miejscach publicznych, aby



*Dom mieszkalny Europejczyków.*

swym ziomkom dać pojęcie, jak powinien zachowywać się i wyglądać prawdziwie cywilizowany murzyn.

Czarni naogół okazują nam wiele uprzejmości. Pozdrawiają nas, uśmiechają się dobro-



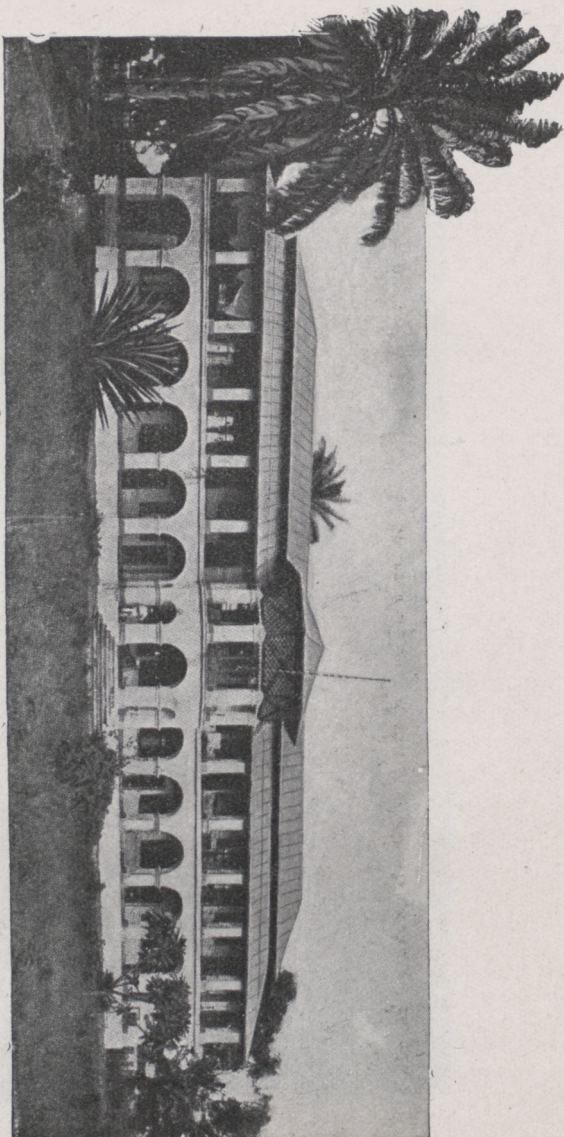
Starosfwo.

dusznie, a niektórzy nawet całują naszą rękę. Brat Paweł chętnie wdaje się z nimi w rozmowę, a ja, aby się nie okazać niegrzecznym, powtarzam

aż do znudzenia „god day“, albo „how are you“ (dzień dobry — jak się masz).

Wstępujemy wreszcie do miasta. Przed nami biegną szerokie ulice obsadzone drzewami. Palmy, ze względu na miły kontrast, jaki wytwarzają swą zielenią z białym kolorem są najliczniejsze. Czystość wszędzie wzorowa. Troszczy się o nią usilnie policja, a przede wszystkim rządowi lekarze, a błogie skutki ich napozór pedantycznych zarządzeń, objawiają

*Szpital.*



się w progresywnem zmniejszaniu się chorób i wypadków śmierci. Gdy miasto otrzyma kana-



*Ogólny widok miasta Suva.*

lizację, wodociągi, łazienki — bezwątpienia stosunki zdrowotne jeszcze więcej się polepszą.

Bardzo przemawia do mego gustu sposób budowy domów mieszkalnych, polegający na ich otoczeniu szerokimi werandami, gdzie domownicy, pośród ustawionych kwiatów, zażywają wieczorem wypoczynku po całodzienniej pracy.

Obszerne place, po których można jeździć autem, albo powozem, ogrody, trawniki, dostarczają miastu poddostatkiem świeżego powietrza. Trzeba zaprowadzić jeszcze tramwaje, światło elektryczne, teatry, a Duala w niczem nie ustąpi nowożytnemu miastu.

Odczuwamy już znużenie, a i pragnienie dokucza nam bardzo. Idziemy jeszcze na bulwar nadmorski, aby pożegnać Eleonorę, a potem wstępujemy do restauracji niedawno wybudowanego hotelu, gdzie bąbką piwa odświeżymy wyschłe gardła.

Zastajemy już tam wiele gości, z którymi witamy się serdecznie. Spoglądam wokół, czy nie zobaczę p. Biernackiego. Objaśniono mię, że on dopiero później rozpoczyna swą działalność.

Kelner stawia przed nami dwie butelki mocno zakorkowane, owinięte w stanjol i zalakowane. Europejskie browary w ten sposób zabezpieczają swe wyroby przed zepsuciem, że, oprócz wspomnianego opakowania, dolewają do piwa przeznaczonego na eksport nieco spirytusu i raz jeszcze gotują we flaszkach. Korek wylatuje z hukiem, w szklankach tworzy się apetyczny kołnierzyk z piany. Piwo wysmienite. Piją tu tak dużo tego nektaru, iż brzeg zatoki podobno jest zawalony próżnemi butelkami.



## VII.

### D O K R I B I.

*Pierwsza Poczta. — Ruch poranny. — Nachtigall. — Na otwartem morzu. Malinba. — Batanga. — Plantation. — Latarnia morska. — Kribi. — Port i zatoka. — Położenie stacji misyjnej. — Niedobry znak.*

Nazajutrz rano wręczyła mi poczta pierwszy list na ziemi kameruńskiej. Z radością wyczytałem, iż prefekt apostolski, Ks. Vieter, oczekuje mnie z utęsknieniem w Kribi. Mam korzystać z najbliższej okazji, a jeśli możliwe, natychmiast puścić się w drogę.

Nareszcie, po czterotygodniowej tułaczce, powierzono mi określone stanowisko w pracy misyjnej. Pojadę małym parowcem „Nachtigall“, który swe nazwisko zawdzięcza sławnemu uczonemu, badaczowi Afryki środkowej, dr. Nachtigall'owi. Kapitan zawiadamia mię, iż we wtorek, pomiędzy 8 a 9 godziną rano odpłynie z wszelką pewnością. A więc trzeba natychmiast przystąpić do pakowania rzeczy, dzisiaj już pożegnać się z braćmi, bo jutro niewiele pozostanie mi czasu.

O godzinie pół do ósmej opuszczam stację i, w towarzystwie brata Wójcika, śpieszę głównym gościńcem ku morzu.

Wraz ze mną zdąza do miasta mnóstwo czarnej młodzieży i dorosłych, ale już nie na promenadę, jak wczoraj. Śpieszą do pracy. Większa część — to robotnicy, zajęci stale albo w składnicach wielkich firm handlowych albo przy ładowaniu okrętów. Za nimi idą rzemieślnicy, moc przeróżnych boyów, usługujących Europejczykom i chłopców, którym żywy temperament nie pozwala iść spokojnie.

Z piosenką na ustach, podskakując co chwila, to się czubiąc wzajemnie, zdążają do szkoły. Każdy z nich wetknął w kędzierzawą czuprynę rysik, ołówek, lub pióro, głowę obarczył tabliczką i książką, a poza ucho założył sobie kawałeczek drzewa do czyszczenia zębów, bez którego żaden murzyn obejść się nie może.

Do naszej szkoły uczęszcza około 600 uczniów; taka sama ilość do szkół publicznych i do szkół baptystów.

Cały ten pochód zamyka murzyńska inteligencja: pisarze, kanceliści, tłumacze. Ci, odpowiednio do swej godności, nie idą już pieszo, lecz po większej części jadą na rowerach.

„Nachtigall“ jest małym parowcem pasażerskim. To nie Eleonora. Ale zato kapitan nadzwyczaj grzeczny człowiek. W każdym Pallotynie widzi swego przyjaciela, ale dla ks. prefekta apostolskiego żywi wprost bałwochwalczy szacunek.

Oprócz mnie podróżuje jeszcze kilku panów, z którymi szybko się zaznajamiam. W ogóle na

obczyźnie stosunki towarzyskie nawiązują się nadzwyczaj łatwo. To też i w Afryce wszyscy się znają i przyjaźnią, bo wszyscy mają te same troski, obawy i nadzieje, wszystkich wiążą wspólne cele. Nawet protestanci, co w Europie nie widzieli nigdy misjonarza, tutaj odnoszą się do niego z zaufaniem i z życzliwością.



*Parowiec „Nachtigall”.*

Nachtigall, wbrew swym niepokąźnym rozmiarom, sprawia nadzwyczaj wiele hałasu. Co chwila rozdziera uszy swą trąbą, co chwila daje pasażerom złudną nadzieję rozpoczęcia podróży i wywołuje wśród nich zrozumiałe zdenerwowanie.

Kiedyż ostatecznie ruszymy w drogę? Nareszcie Nachtigall, wyrzuciwszy z siebie przeciągły ryk, nierównie silniejszy, aniżeli poprzednie, zatacza wielki łuk, jakby zamierzał złożyć uprzejmy ukłon stolicy Kamerunu i wypływa pełną parą na otwarte morze.

Stoję wraz z kapitanem na pomoście. Powoli tracimy miasto i port z oczu, a okrążywszy niewielki półwysep, zbaczamy na lewo i płyniemy na południe otwartym morzem.

Około godziny 12 zbliżamy się do ujścia rzeki Sanagi, która, obok miejscowości Malimba, potężnym korytem wlewa się do oceanu. W Malimba, gdzie się krótko zatrzymujemy, zbliża się do okrętu łódź i zabiera jednego z pasażerów, kupca, który tam prowadzi interes handlowy.

W dalszej drodze trzymamy się blisko lądu. Brzegi są niskie, płaskie, pozbawione wszelkiego urozmaicenia. Witam radośnie napotkaną pierwszą większą osadę Batanga, bo stąd już rozpoczyna się teren działalności stacji misyjnej w Kribi.

Po dwóch godzinach stajemy w Longi. Tutaj, blisko morza, rozciągają się obszerne zabudowania dwóch wielkich firm europejskich, z których jedna należy do p. Woermana, właściciela „Eleonory“.

Odprowadzam wzrokiem kilku panów, płynących łodzią do brzegu. Do nich przyłączył się i kapitan, aby odwiedzić swego przyjaciela, głównego dyrektora firmy Woermann. I mnie zapraszał z sobą, lecz wymówiłem się grzecznie.

W godzinę później płyniemy już wprost do Kribi.

Czyż mogłem kiedykolwiek przed laty przypuszczać, że, daleko od swoich, aż na zachodnim wybrzeżu Afryki, nad samym równikiem, obejmę obowiązki duszpasterskie nad tysiącami plemion murzyńskich, na przestrzeni tak rozległej jak cała diecezja, z której pochodzę?

Poglądam ustawicznie ku brzegom i raz poraz przykładam szkła do oczu, aby żaden szczegół nie



*Lafarnia morsko.*

uszedł mej uwagi. Interesuje mnie każda chata, każde drzewo, nawet krzak każdy. Mijamy osadę Plantation, gdzie cały szereg firm kupieckich posiada własne faktorje. Tutaj to koncentruje się handel kauczukiem i kością słoniową. Obydwa te artykuły przenoszą karawany murzynów na plecach przez setki mil z wnętrza Afryki, a stąd ładują je na okręty. Wartość takiego ładunku

jednej tylko firmy przenosi nieraz i milion marek niemieckich, a główni agenci, pracujący w tym dziale, to prawdziwi panowie. Roczne ich pobory wynoszą po 100 tysięcy marek, nie wliczając w to wcale wysokiej tantjemy, zależnej od ilości towaru, jaki im się uda z kraju wydobyć.

Około godziny 5 skręca nasz parowiec po raz



*Zatoka w Kribi.*

ostatni, na horyzoncie rysuje się latarnia morska, a poza nią widać jakieś większe budynki. To Kribi. Ale stacji misyjnej nie widać. Zobaczę ją dopiero, gdy wjedziemy do portu jak mię informuje kapitan. Jeszcze 5 minut, jeszcze jeden okręt. Teraz ją widzę.

Poza zatoką, która przylega do portu, wznoszą

szą się na lekkim wzgórzu jej zabudowania. Wyraźnie rozróżniam kościół, obok niego dom mieszkalny, z drugiej strony szkołę, a dalej po prawej ręce, ponad zatoką, tam, gdzie morska latarnia, rozpoznaję rezydencję Sióstr Pallotynek i ich kaplicę. Położenie piękne.

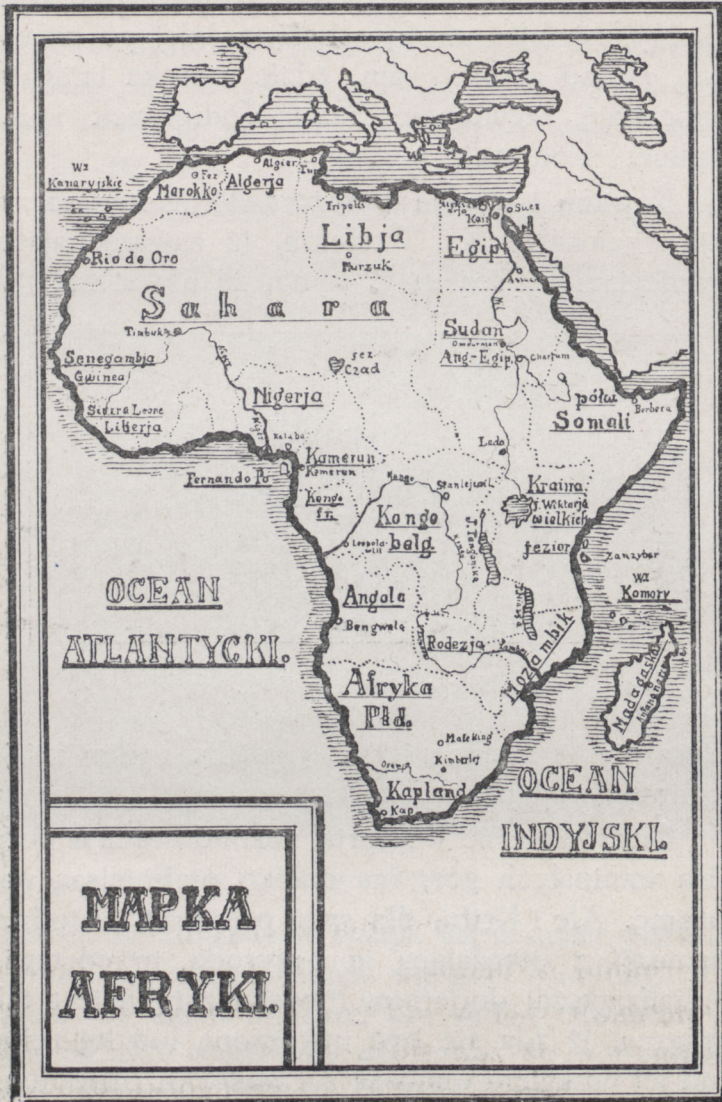
Kapitan i obecni pasażerowie znowu zaczynają wychwalać Ks. Prefekta, iż zawsze najstosowniejsze miejsce umie wynaleźć dla siebie. To



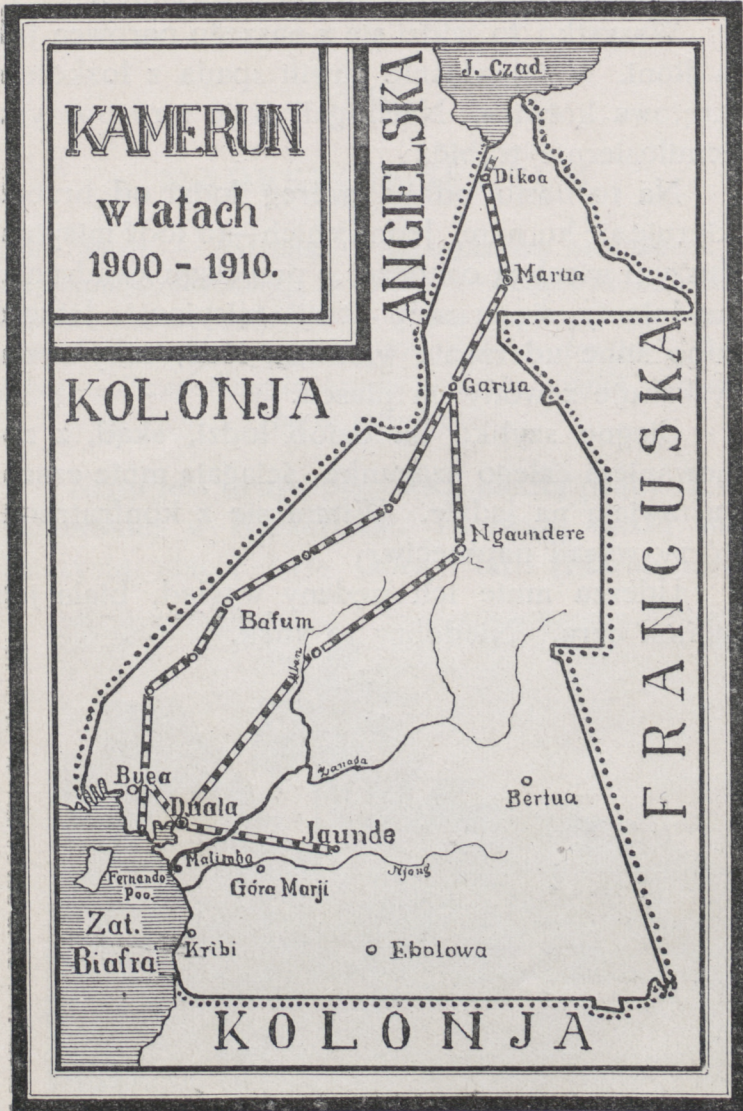
*Stacja misyjna w Kribi.*

bezwątpienia zgodne jest z prawdą. I tutaj misja dominuje nad portem i miastem.

Oczywiście, że Wiktorja, rozbudowana u podnóża wzniosłych gór, ma daleko piękniejszą panoramę. Ale i Kribi, dla swej proporcji i zgodnej harmonji z otaczającą ją przyrodą, przedstawia się nadzwyczaj dodatnio. Morska zatoka jest tak foremna, iż zda się być utworzoną ludzką ręką. Nad jej brzegiem wznoszą się pagórki, ozdobione poszarpanymi skałami, z lewej strony wpada do niej około 20 metrów szeroka rzeka Kribi, która







rozdziela misję od miasta europejskiego. Tylko prymitywny most łączy obydwie dzielnice.

Wszystko to widzi się z naszego parowca jak na dłoni. W tej właśnie chwili spada z łoskotem okrętowa kotwica. Nachtigall staje i rozpoczyna niemiłosiernie trąbić.

Na to hasło odbija szereg łodzi od brzegu i kieruje się ku nam. Jedna z nich—to łódź misyjna. Murzyni wiosłują ochoczo; w przeciągu kwadransu znajdujemy się u stóp stacji misyjnej. Jeszcze jedno silne uderzenie wiosła, a łódź, niby ryba, wyskakuje z wody na piasek.

Biegnę szybko na dziób łodzi, skąd, z zachowaniem całego szacunku, ściągają mnie czarni i ustawiają na lądzie. Witam się z konfratrami, którzy wyszli naprzeciw.

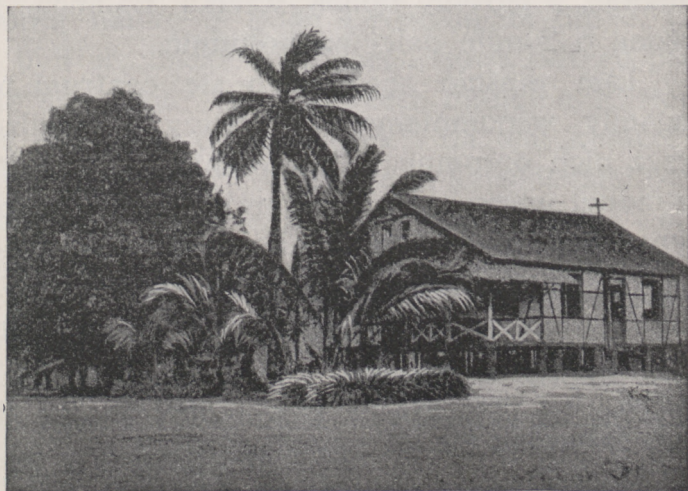
Uderza mnie ich nędzny wygląd, biała jak opłatek cera. Niedobry to znak.

## VIII.

### NARESZCIE U CELU.

*Góra Marji. — Batanga. — Amerykańscy misjonarze. —  
Działalność misjonarzy katolickich. — Śmierć br. Józefa. —  
Budowa domu i kościoła. — Praca duchowa. — Miasto  
Kribi. — Podróże misyjne. — Przygody w drodze. — Atak  
febry. — Przez dżungle i bagna. — Druga mogiła na cmen-  
tarzu misyjnym.*

Kribi jest drugą placówką naszej pracy dusz-  
pasterskiej w Kamerunie. Pierwszą naszą ma-  
cierzystą stacją była Góra Marji (Marienberg),



*Góra Marji.*

założona w 1891 r. w lasach dziewiczych nad wielką rzeką Sanaga w odległości około 20 mil od morza. Racjonalny rozwój działalności misyjnej wymagał koniecznie kontaktu z morzem. Nie nadawała się do tego Wiktorja, ze względu na otaczające ją wokół niedostępne góry, które utrudniały komunikację z wnętrzem lądu, a na założenie stacji w Duala rząd nie chciał się zgodzić.

Tylko więc południowe pobrzeże mogło wchodzić w rachubę. Krząłali się tam angielscy i amerykańscy sekciarze, niezbyt życzliwi dla Niemców, to też osiedlenie się nasze w tych stronach zostało z łatwością przyjęte.

Ks. prefekt wybrał Kribi, miejscowość położoną w pośrodku granic południowych kolonij, gdzie schodziły się wielkie szlaki handlowe z różnych części kraju. — Ziemię zamieszkiwał szczep Batanga, z główną stolicą Wielką Batangą, położoną o 2 mile dalej na południe.

Tam właśnie znajdowało się centrum propagandy wspomnianych sekciarzy. Urządzone przez nich ogromne zabudowania, z komfortem na model amerykański, stanowiły jakby twierdzą wypadową do nawracania okolicznych murzynów.

Misjonarze ci, jeśli ich tak nazwać można, zajmowali wraz z rodzinami wspaniałe apartamenty, mieli własnego lekarza, aptekę, własny szpital, a nawet własne pola tenisowe, na których zabawiali się ze swemi paniami.

Pozyskiwanie murzynów polegało nie tyle na nauczaniu, ile na spełnianiu względem nich

uczynków miłosierdzia. Udzielali im bezpłatnie lekarstw, pielęgnowali w chorobie, a posiadając należyte urządzenia kliniczne, przeprowadzali nawet trudniejsze operacje.

Misyjną pracą nie wiele się zajmowali. Zadowalali się tem, że w dni niedzielne gromadzili ostentacyjnie swych wyznawców do kościołka na nabożeństwo a od czasu do czasu wybierali się do sąsiednich miejscowości, aby je dla siebie pozyskać.

Ale dziwna była ich metoda apostołowania. Misjonarz niesie na plecach katarynkę a żona biblię. Stanąwszy na głównym placu wioski rozpoczynają oboje dzieło nawracania. Mąż wygrywa pobożne pieśni a wtoruje basem swej połowicy, która śpiewa pierwszym głosem. Wokoło nich zbierają się murzyni, do których wygłaszają krótką naukę o Bogu i rozdają im biblije. Jacy to byli słuchacze—czy ziarno słowa Bożego przyjęło się w ich sercu, to rzecz obojętna. Misjonarze spełnili swój obowiązek i na tem koniec.

Amerykańscy sekciarze są kalwinistami i wierzą w predestynację. Stąd ich postępowanie wobec czarnych.

W czasie mego przybycia do Kribi uważali swe zadanie misyjne wśród szczepu Batanga już za ukończone. Liczba wybranych została, wedle ich zdania, osiągnięta, a pozostawała im teraz tylko pielęgnowanie chorych.

Okoliczność ta była nam bardzo na rękę, bo mogliśmy teraz przystąpić do pracy, nie wchodząc

z nimi w żadne zatargi. To też stosunki nasze wzajemne były zupełnie poprawne. Należy przyznać, że i do nas stosowali zasadę altruizmu, którą im wytknął jakiś metodysta, miliardier amerykański. W chorobach lekarze ich nigdy nam nie odmawiali pomocy. Jedno tylko, co raziło u nich bardzo, to ostentacyjne afiszowanie się pobożnością, której im ich błędna wiara w istocie dać nie może.

Ale wróćmy do swoich.

Z końcem września r. 1901 przybyli pierwsi nasi misjonarze do Kribi, mianowicie ks. prefekt Vieter i dwaj bracia: brat Robert i brat Józef.

Przypatrzmy się ich działalności, aby się zapoznać z życiem misjonarza katolickiego w Afryce i zrozumieć wszystkie trudności, z jakimi musi się borykać.

Wszyscy trzej koniecznie potrzebowali zmiany klimatu. Brat Robert był zupełnie wycieńczony fizycznie atakami tak zwanej czarnej febry, ze wszystkich najniebezpieczniejszej. Narazie zmiana miejsca przyniosła im pewną ulgę, wróciła energję i zapał. Pomylili się jednak, sądząc, iż klimat nadmorski będzie znośniejszy, aniżeli klimat bagnistych lasów nad Sanagą.

Zaledwie postawili sobie prowizoryczną chatkę, zaledwie urządzili się jako tako, a już śmierć zapukała do drzwi ich ubogiej siedziby. Umarł brat Józef na wadę serca, spowodowaną ogólnem wyczerpaniem organizmu. Wśród pracy runął nagle na ziemię nieprzytomny. Zabiegi lekarskie przy-

wiodły go do życia, ale nie na długo. Wkrótce powtórzył się atak i śmierć zabrała go, jako pierwszą ofiarę na nowej placówce.

Stało się to 12 listopada, w 30 dni po przybyciu do Kribi. Pozostali współtowarzysze po-



*Pierwsze mieszkanie misjonarzy w Kribi.*

grzebali go z głębokim smutkiem i żalem. Śmierć stanęła pośród nich tak nagle, że nie mieli jeszcze czasu pomyśleć o wyborze miejsca pod cmentarz.

Ale ks. prefekt nie upadł na duchu, tylko wraz z bratem Robertem przystąpił do budowy domu i kościoła. Pomagali im mieszkańcy Kribi

i pięciu murzynów katolików, którzy tutaj przybyli z sąsiedniej wyspy Fernando Po.

Wkrótce też stanął większy dom mieszkalny o ścianach plecionych z gałęzi i obrzucanych



*Grób misjonarza.*

gliną. W ten sam sposób wybudowano i kościół. Nazwano go żartobliwie katedrą, że to w nim ksiądz prefekt, obdarzony władzą biskupią, odprawiał nabożeństwo. Na patrona kościoła obrano św. Józefa.



W parze z pracą fizyczną szła praca duchowa. Na szczęście jeden z owych 5 katolików, Piotr Sele, władał językiem angielskim, który znał również i ks. prefekt. Wygłaszał on katechizacje po angielsku, a Piotr tłumaczył je na idjom Batangów.

Co wieczór odprawiano w kościele krótkie nabożeństwo, składające się z nauki katechizmowej, z różańca i błogosławieństwa, w którym ludność miejscowa tłumnie brała udział.

Nauka szkolna rozpoczęła się dopiero w następnym roku. Uczniów było z początku zaledwie 35, a dziewcząt żadnych.

Od roku 1902 Kribi poczęło się coraz bardziej rozwijać. Najprzód otrzymało starostwo, potem przybyło wojsko, a wślad za wojskiem sprowadziło się około 10 większych firm handlowych. Tak wyrosło powoli po lewej stronie rzeki miasteczko europejskie. Razem z miastem rosła też i rozwijała się misja.

Pracy było wbród. Każdą robotę, wchodzącą w zakres stolarstwa wykonywał własnoręcznie ks. prefekt, bracia zajmowali się ogrodem, aby z dzikiej gleby bodaj najpotrzebniejsze warzywa otrzymać. Główne jednak artykuły pożywienia, mięso, mleko, tłuszcz, sprowadzano w zamkniętych hermetycznie puszkach blaszanych z Europy. Nawet mąkę i kartofle trzeba było sprowadzać, bo tutaj z powodu gorąca i wilgoci ani zboże ani kartofle nie mogły się udać. Wszystko wyrastało w bezowocne zielska.

Lecz poza obowiązkami w Kribi trzeba było jeszcze myśleć o stacji w Górze Marji i o utrzymaniu z nią regularnej komunikacji. Sprowadzane z Europy towary dla misji przychodziły do Kribi okrętami, ale stąd musiano je już własnym przemysłem odsyłać do Góry Marji. Wieziono je morzem na łodziach do Malimba, a stąd rzeką Sanażą do miejsca przeznaczenia.

Tego rodzaju transport był nie tylko uciążliwy, ale i niekorzystny, bo narażał misję na wielkie



*Rzeka Sanaża.*

straty. Bardzo często przywożono towary zupełnie przemoczone, a gdy morze było burzliwe, nieraz i połowa ich ginęła w wodzie.

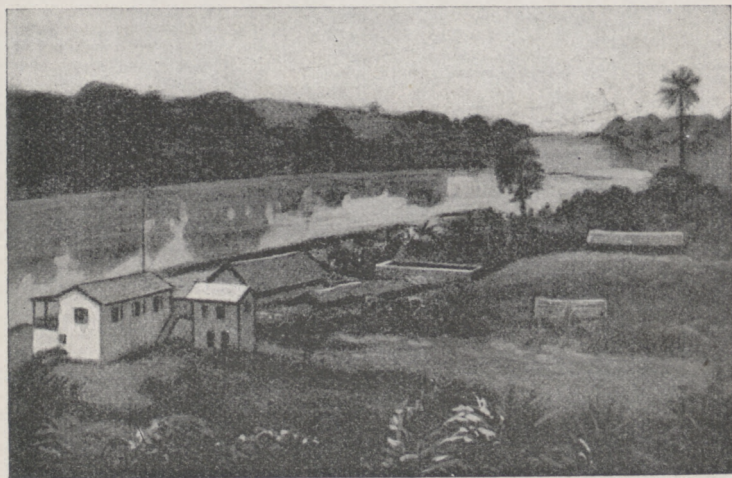
Najwięcej jednak utrudniały pracę misyjną częste podróże ks. prefekta do Duala i Góry Marji, których musiał się podjąć z konieczności jako przełożony misji.

Przytaczam opis podróży z Góry Marji do Kribi i z powrotem, wyjęty w skróceniu z jego

własnego pamiętnika, aby czytelnikom dać chociaż słaby obraz ówczesnych stosunków.

Dnia 21 czerwca, w porze obiadowej opuścił ks. Vieter Górę Marji i na zwykłej łódce murzyńskiej (kanu) przybył rzeką Sanaga do wioski naczelnika Janja, aby z tamtejszymi mieszkańcami odbyć naukę katechizacji.

Noc spędził w faktorji Woermana. Następ-



*Faktorja nad rzeką Sanaga.*

niego dnia udał się w dalszą drogę i dotarł do ujścia rzeki. Czarni wioślarze wrócili się stąd do swych domów, a ks. Vieter w towarzystwie dwóch tylko chłopców rozpoczął marsz wzdłuż morskiego wybrzeża w kierunku południowym do Kribi.

W drodze o godzinie 5 po południu zaatakowała go tak silna febra, iż, nie mogąc utrzymać się na nogach, upadł na ziemię. O jakiej-

kolwiek pomocy nie mogło być mowy, gdyż okolica była zupełnie pusta. Chory leżał na piasku, a jedyną dla niego pociechą i lekarstwem był ogień, który rozpalili jego młodzi towarzysze.

Zbliżyła się noc. Gdy tylko księżyc rozświecił ciemności i nastąpił odpływ morza, obydwa chłopcy przystąpili do chorego, zachęcając go aby powstał i udał się w dalszą drogę. W odpowiedzi położył ks. Vieter rękę jednego z nich na swe, gorączką rozpalone piersi. „Massa liv for dit“! (Wielki pan umiera) zawołał przerażony chłopak i zostawił go w spokoju.

Nad ranem uczuł ks. Vieter pewną ulgę, lecz był jeszcze tak osłabiony, iż mimo nadludzkich wysiłków, nie zdołał dotrzeć nawet do pobliskiej wioski Mała Batanga. Trzeba było znowu drugą noc przepędzić w polu.

Febra jednak nie ustąpiła. W Małej Batandze pozostał ks. Vieter do 30 czerwca. Zabrała go stamtąd łódź żaglowa, która płynęła do faktorji angielskiej w Longji. W Longji przeleżał jeszcze trzy dni w gorączce, aż zupełnie wyczerpany, dowłókł się do Kribi. W Kribi jednak czekało na niego już pismo, którem wzywał go gubernator do najszybszego przybycia do Duala.

Właśnie wtedy odpływał okręt pasażerski do stolicy. Trzeba było natychmiast korzystać ze sposobności, która nie prędko mogła się powtórzyć.

Na okręcie przeleżał ks. Vieter całą drogę

w kajucie. W Duala okazało się, że znowu musiał wrócić do Góry Marji.

Wynajął tedy łódź i korytem rzeki Sanaga puścił się w drogę.

Trzeba było nowego nieszczęścia. Zerwała się burza z wielką ulewą, na skutek tego wio-



*Most w lasach dziewiczych.*

ślarze nie zdołali przed odpływem morza dostać się do celu. Łódź osiadła na mieliźnie i musiano czekać na nowy przyływ wody. Przez całą noc przesiedział ks. Vieter pod parasolem na deszczu. Gdy przybył do domu, był tak wyczerpany, iż dłuższy czas musiał przeleżeć w łóżku, zanim powrócił do zdrowia.

Tak to podróżowało się z Kribi do Góry Marji i odwrotnie. Tylko szczególnej opiece Bożej należy zawdzięczać, że nikt z nas podczas takich wycieczek nie zginął. Oprócz tej drogi prowadziła do Góry Marji jeszcze inna, daleko dłuższa i trudniejsza droga lądowa poprzez dżungle i bagna i dzikie nieznane plemiona. Ks. Vieter i tę drogę przebył po kilka razy.

W liście z 5 września 1893 r. datowanym w Górze Marji pisze do ks. Generała: „Jak ojciec widzi, jestem znowu w Górze Marji. Blisko Malimbi wywróciła się nasza łódź, wszyscy znaleźli się w wielkim niebezpieczeństwie życia i musieliśmy z drogi zawrócić. Chciałem iść pieszo do Małej Batangi, lecz nie mogłem przeprowić się przez rzekę Lotte, bo nie było ani łódki, ani przewoźnika. Spróbuję lasami dostać się do celu, lecz to rzecz niebezpieczna i wprost zabójcza“.

Komuż tutaj nie przychodzą na myśl pełne udręki i trudów podróże św. Pawła, o których pisze: Trzykrociem się z okrętem rozbił, przez dzień i noc byłem w głębi morskiej, w drogach częstokroć, w niebezpieczeństwie rzek, w niebezpieczeństwach rozbójników, w niebezpieczeństwach na pustyni, w niebezpieczeństwach na morzu, w pracy i w kłopotcie, w niespaniu częstem, w głodzie i w pragnieniu, w pościech częstych, w zimnie i nagości“...

Nadomiar i w Kribi nastąpiły ciężkie czasy. Zaledwie z wielkim nakładem pracy i kosztów dokończono budowy katedry i dokonano jej konsekracji, gdy tego samego dnia popołudniu po-

wstał tak silny tornado, tak silna rozpętała się wichura, iż powaliła świątynię w gruzy. Musiano rozpocząć nową budowę.

Wkrótce potem zachorował stolarz, brat Józef, a w kilka dni później zasnął snem wiecznym. W odległej krainie, na mściwej afrykańskiej ziemi, wyrosła druga mogiła na cmentarzu misyjnym.

## IX.

### POSTĘPY MISJI NA POŁUDNIOWEM WYBRZEŻU.

*Wśród szczepu Batangów. — Czarni nauczyciele. — Buambe. — Rozwój szkolnictwa. — Ks. Ludwik Otto. — Siostry Pallotynki. — Zwyczaje murzyńskie. — Wychowanie dziewcząt. — Powrót Sióstr do Europy. — Podjęcie przerwanej działalności.*

Początkową pracę misyjną pośród szczepu Batangów ułatwiał nadzwyczaj dogodny dostęp do ich siedzib, rozrzuconych długim pasem wzdłuż wybrzeża, które w czasie odpływu morza, stanowiło dobrą drogę nie tylko dla pieszych, lecz w niektórych częściach nawet dla jazdy kołowej. W niedługim czasie przyswoili sobie nasi misjonarze język Batangów, żyli się z nimi i tak pozyskali ich zaufanie, iż od ujścia Sanagi aż do rzeki Kampo wszędzie proszono ich o szkoły i kaplice.

Brak wykwalifikowanych czarnych pomocników, którymby można było powierzyć obowiązki nauczycielskie, zwłaszcza w więcej oddalonych od głównej stacji placówkach, był jedyną przeszkodą dla której nie mogliśmy zadość uczynić ich życzeniom. Mieliśmy wprawdzie w szkole



w Kribi poddostatkiem chłopców zdolnych, lecz gdy jedni, jako zbyt młodzi, nie nadawali się na nauczycieli, drudzy nie chcieli podjąć się tej pracy z powodu niskiego wynagrodzenia, jakie im mogliśmy ofiarować. Tymczasem urzędy państwowe, wojsko, lekarze, kupcy, płacili hojnie; nawet subjekt w faktorji, albo boy w służ-



*Wioska murzyńska.*

bie Europejczyka zarabiał więcej, aniżeli pedagog misyjny.

Tak więc marny grosz pozbawił dzieło misyjne najlepszych sił.

Pomimoto szkoły w okręgu Kribi powstawały stosunkowo bardzo szybko. Pierwsza szkoła została otwarta w Buambe w 1895 r., w odległości około 10 km. od Kribi. Gorliwość tam-

tejszych mieszkańców w pełnieniu praktyk religijnych, ilekroć urządzano dla nich nabożeństwo w cieniu wielkiego drzewa Mango, wielkie przywiązanie do misji, ofiarność i dobre serce, sprawiły, że, w roku następnym, wybudował im ks. prefekt jeszcze kaplicę, w której co niedziela odprawiano Mszę św. i uczono nauki wiary.

Wkrótce potem założono szkołę w Lobe i tak krok za krokiem posuwano się naprzód. W jednym roku na południe od Kribi pięć miejscowości: Wielka Batanga, Otabi, Boboleka, Bodje i Kampo, otrzymało budynki szkolne i nauczycieli. W kierunku północnym powstały szkoły w Plantation, w Longji, w Małej Batandze i w Ndokoi.

Rozwój szkolnictwa postępował tak szybko, że w r. 1897 mógł ks. rektor złożyć ks. Generałowi relację iż wzdłuż całego wybrzeża okręgu Kribi niema ani jednej większej miejscowości, w którejby nie powstała katolicka szkoła, i gdzieby młodzież i starsi się nie przygotowywali do przyjęcia Chrztu św.”...

Do tak świetnego postępu misji przyczynił się w niemałej mierze jeden z najlepszych naszych księży O. Ludwik Otto, który przez półtrzecia roku od kwietnia 1896 do sierpnia 1898 pracował w Kribi. Był to prawdziwy apostoł. Niezmordowanie śpieszył od wioski do wioski, nauczał, chrzczył, odprawiał nabożeństwa.

Gdy czasem sam jeden zmuszony był po-

zostać w głównej stacji, natychmiast po odprawieniu sumy i po wygłoszeniu nauki, śpieszył do Buambe, aby tam drugą Mszę św. odprawić, a po południu udawał się jeszcze do Wielkiej Batangi i tam uczył katechumenów. W poniedziałek rozpoczynał wizytację szkół w odleglejszych miejscowościach, a dopiero w środę, lub w czwartek wracał do domu, gdzie trzeba było załatwić liczne sprawy, które na niego czekały i wypełnić przydzielone mu obowiązki.

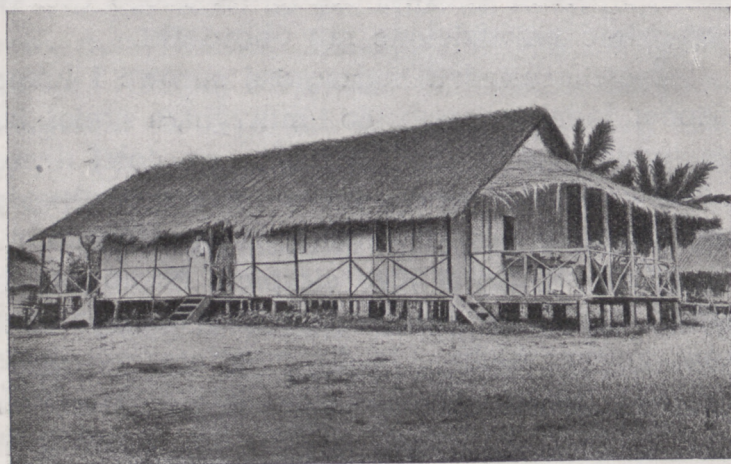
Życie prowadził nadzwyczaj surowe i umartwione. Jadał to samo, co i murzyni, a sypiał, jak się to po jego śmierci okazało, na gołej desce. Głód, upał, niewygody, febry i inne dolegliwości znosił z taką pogodą ducha, iż współbracia nie domyślali się nawet jego cierpień. Mimo nawału pracy, znajdował jeszcze czas na badania języków murzyńskich. On to przetłumaczył katechizm na język Batangów i wydał go w r. 1899.

Niestety, te, prawie nadludzkie, wysiłki wyczerpały jego zdrowie. Ks. Ludwik Otto zapadł na bolesną chorobę raka żołądkowego i, po długich cierpieniach, zakończył młode życie w Europie 1901 r.

Dzielnie sekundowały nam siostry Pallotynki, które w liczbie sześciu już w listopadzie 1892 r. zawitały do Kribi. Połowa z nich pozostała w Kribi, a druga połowa udała się do Góry Marji. Do nich należało prowadzenie szkoły i internatu dla dziewcząt murzyńskich.

Praca ich jednak, jak to już poprzednio

wspomniałem, natrafiała na poważne trudności. Między murzynami panuje wiekami uświęcony zwyczaj, iż narzeczony płaci rodzicom córki, którą bierze za żonę, pewne odszkodowanie. Gdy się zważy, iż córka, wychodząc za mąż, opuszcza dom właśnie w chwili, gdy pracą swą powinna odwdziżyć się rodzicom za ich trud wychowania, na takie odszkodowanie można się



*Pierwsze mieszkanie sióstr Pallotynek.*

ostatecznie zgodzić, wszak i w Europie dziewczęta otrzymują posąg przy zamążpójściu.

Zło jednak tkwi w czem innym. Dziewczę murzyńskie, pozbawione jest, w wypadku małżeństwa, wszelkiego prawa stanowienia o sobie, Nikt się jej nie pyta, czy ten przyszły mąż przypada jej do serca, czy chce iść za mąż, czy nie, lecz wszystko zależy od woli ojca, który oddaje swe dziecko ofiarującemu najwyższą zapłatę.

Może to być murzyn bogaty, posiadający już więcej żon, lub stary lubieżnik, który ją bierze wyłącznie dla dogodzenia swej żądz.

Oczywiście zwyczaj ten, równając kobietę z towarem wystawionym na sprzedaż, był w wysokim stopniu krzywdzący i upokarzający. Położenie dziewczęcia pogarszało się jeszcze więcej, jeśli ojciec jej kierował się chciwością. Zdarzały się wypadki, iż taki niesumienny rodzic sprzedawał swe dziecko prawie w wieku niemowlęcym.

Stąd łatwo pojąć, jak ciężko było poganom oddawać swe córki na wychowanie siostron. Znaczyło to tyle, co wyrzec się prawa dysponowania do woli swemi dziećmi i utracić źródło poważnych zysków. Dopiero powoli zaczął łagodnieć ich upór, gdy zrozumieli, że nowa wiara nie odbiera im zapłaty, że właściwie idzie tylko o to, aby córka miała prawo wyboru swego przyszłego męża z pomiędzy ochrzczonych, lub z pogan, ale pod warunkiem, iż będzie jego jedyną nierozłączną towarzyszką życia.

Stosunki pod tym względem ułożyły się nareszcie pomyślnie dla kobiet murzyńskich, kiedy rząd stanowczo, pod surowemi karami, zabronił rodzicom sprzedawać dzieci i wydawać za mąż córki bez ich woli i wiedzy.

Była też jeszcze inna przyczyna, często zupełnie zrozumiała, dla której murzyni wzbraniali się oddawać swe córki do internatu. Chodziło mianowicie o wyрекę w zajęciach domowych. Gdy chłopcy cieszą się bezwzględna wolnością

to dziewczęta od wczesnej młodości stają do pracy przy boku matki. Najpierw bawią swe młodsze rodzeństwo, a od 10 lub 12 roku życia pomagają wedle sił w uprawie roli. Rzeczywiście dla matki murzyńskiej, na której głowie spoczywa całe gospodarstwo, było nieraz wprost niemożliwą rzeczą wyrzec się pomocy dorastającej córki.

A jednak, pomimo tych poważnych trudności, zdołały nasze siostry taktem, roztropnością, poświęceniem się dla biednych i chorych, sprawić tyle, iż już przy końcu pierwszego roku miały w internacie 20 dziewcząt. Liczba ta stale wzrastała, później ich było zwykle około 50.

Zdrowie siostr nie przedstawiało się lepiej od zdrowia misjonarzy, jakkolwiek żyły i pracowały w dogodniejszych warunkach. Już po 2 latach pobytu w Kamerunie zmuszona była jedna z nich powrócić do Europy, w następnym roku odjechała reszta, bo wszystkim groziła śmierć niechybna. Podczas ich nieobecności zakupiono nad morzem piękny plac i wybudowano dla nich dom mieszkalny, kaplicę i szkołę.

Dopiero w roku 1906 przybyły młode i zdrowe pracownice i podjęły na nowo przerwana działalność. Dziewczęta murzyńskie pozostawały stale pod opieką siostr, aż do chwili zamążpójścia.

## X.

### NAPAD BULÓW.

*Dziki szczep Bulów.—Wieści niepokojące.—Szczuła załoga Kribiańska.—Zbrojny napad.—Bohaterska obrona.—Zniszczenie i zrabowanie stacji misyjnej.—Osioł filozof. Ociemniały chłopiec.—Kaplica w Buambe.—Uspokojenie Bulów.*

Na ciche nasze życie spadła nagle, niby piorun z jasnego nieba, przez nikogo nieprzewidziana klęska, która spowodowała nie tylko wielkie straty materialne, ale wniosła zamieszanie w uporządkowaną pracę misyjną:

Mniej więcej 20 mil na wschód od Kribi żyje dziki szczep Bulu. My nie mieliśmy z tymi ludźmi żadnych bliższych stosunków. Natomiast Batangowie kupowali od nich kauczuk i odsprzedawali biały.

Bulowie źle wychodzili na tem pośrednictwie, raz że ceny za towar były zależne od widzimi się Batangów, a znowu, że nieraz odmawiano im, nawet za dostarczony towar, należnej zapłaty.

Ta właśnie okoliczność, jak i niesumiennosc kupców europejskich, jaką zazwyczaj stosowali w operacjach handlowych, skłoniła ich do dochodzenia swej krzywdy z bronią w rękę. Nie



*Czarni z szczepu Bulów.*



taili się z tem wcale i dłuższy czas czynili przygotowania do napadu.

Jeden z naczelników Bulu, w rozmowie z ks. rektorem, wyraźnie zaznaczył, iż przyjdą sami po zapłatę. „Ależ Europejczycy mają strzelby“, zauważył ks. rektor. „I my też mamy“, odpowiedział groźnie.

Gdy wieści o napadzie stawały się coraz więcej niepokojące, sprowadzono z Duala 30 posterunkowych policji—celem wzmocnienia załogi kribiańskiej. Bulowie jednak się nie śpieszyli, skutkiem tego owe alarmy zaczęto z biegiem czasu uważać za przesadzone, a wreszcie przestano wierzyć w niebezpieczeństwo. Żołnierze wrócili do swego garnizonu.

Na to tylko czekali Bulowie. Dnia 22 września 1899 r. liczne gromady uciekających z przerażeniem ku morzu Batangów zwiastowały nam zbliżanie się nieprzyjaciela. Bulowie zajęli cały obszar pomiędzy rzeką Kribi i Lowe i ciągnęli wszystkimi dostępnymi drogami.

Nie było chwili do stracenia. Ks. rektor pobiegł najpierw do siostr, zabrał stamtąd Przenajświętszy Sakrament, a siostrom nakazał, aby natychmiast schroniły się do miasta europejskiego. Co też uczyniły, a był to już czas największy bo awangardy Bulów, zaraz po ich odejściu, wtargnęły do ich domu.

Tymczasem szczupła załoga Kribiańska, licząca zaledwie 10 żołnierzy, gotowała się do obrony. Przyłączyli się do niej dwaj nasi bracia

i zastępca ks. rektora, młody ksiądz H... Dowództwo nad tą garstką ludzi objął starosta, baron Malsen.

Trzy godziny trwała ostra wymiana strzałów. Bulowie cofnęli się ku Buambe, ale wkrótce ponowili atak, zostali jednak ponownie odparci.

Na szczęście w tym samym czasie zjawił się w porcie parowiec Woermana. Kapitan okrętu



*Czarne wojsko kolonialne.*

widząc co się dzieje, w tej chwili zawrócił do Duala, aby sprowadzić więcej wojska.

W niedzielę, dnia następnego, Bulowie zachowywali się spokojnie, bo, zrozumiałwszy, że ich siły są za słabe, posłali po zbrojną pomoc i oczekiwali jej przybycia. Zato tem gwałtowniejszą ofensywę podjęli w poniedziałek. Nasi mężnie stawiali opór.

Tymczasem nieprzyjaciel użył fortelu. Podczas gdy główne siły Bulów zaatakowały z frontu nasze pozycje rezerwowe w tyraljerze strzałami

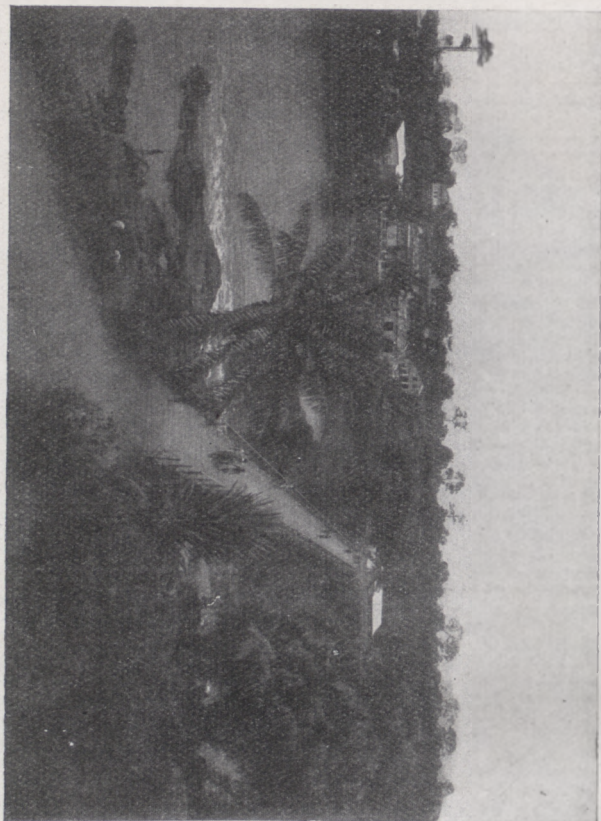


*Czarni wojownicy.*

z łuku, to inni, czołgając się wśród zarośli, zaszli im z boków i rozpoczęli prażyć ogniem ze starożytnego systemu strzelb skałkowych.

Brat R. otrzymał postrzał w głowę, baron Malsen także został ranny. Ale i Bulowie ponieśli wielkie straty. Cóż jednak z tego? Gdy

*Most łączący dzielnicę europejską ze stacją misyjną.*



jednemu wypadła broń z ręki, zaraz rzuciło się po nią dziesięciu.

Wobec wielkiej przemocy musiano nareszcie cofnąć się przez most poza rzekę na dogodniejsze stanowisko, co spowodowało, że stacja misyjna

została wydana na łup wroga, który ją zniszczył i zrabował.

Znając chciwość murzynów, mogliśmy na pewne przypuszczać, że Bulowie nie zadowolą się łupem, zdobytym na Batangach i na nas, ale za wszelką cenę będą usiłowali sforsować przejście przez rzekę, aby się dostać do europejskiej dzielnicy i obrabować tamtejsze bogate sklepy. W tym wypadku słaba nasza załoga nie potrafiłaby zatrzymać dzikiej nawały. Dlatego przygotowano łodzie, aby, w razie niebezpieczeństwa, szukać schronienia na morzu.

Jednak nie doszło do tej ostateczności, bo w najgroźniejszej chwili sygnały wracającego okrętu zwiastowały nam pomoc. To rządowy parowiec Nachtigall przywiózł na swym pokładzie 60 żołnierzy.

Natychmiast zorganizowano atak, lecz Bulowie, zamiarkowawszy pismo nosem, wycofali się do Buambe tak szybko, iż nie mieli nawet czasu spalić naszych zabudowań misyjnych. Mimo to wyrządzone nam szkody przedstawiały się wcale poważnie. Ornaty, chorągwie, bielizna kościelna i całe domowe urządzenie zostało zrabowane, lub zniszczone. Drzwi strzaskane, potłuczone okna, porozbijane szafy przedstawiały smutny obraz ruiny.

Stacja posiadała konia i osiołka. Konia Bulowie zjedli, a osiołek zaimponował im widocznie swą mądrością i ocalał, otrzymawszy tylko lekką ranę w przednią nogę. Ks. rektor znalazł



*Stacja misyjna w Kribi.*

go w kościele, gdzie z godnością i ze spokojem filozofa oglądał okropności spustoszenia. Ociemniały chłopiec Bekube, sierota, którego misja



*Józef Sama, pierwszy ochrzczony Buli.*

wykupiła z niewoli, ukrył się w szufladzie wielkiej szafy i tak uszedł rąk rabusia, oraz kul nasyżych żołnierzy, które podziurawiły ściany domu.

W kaplicy w Buambe, gdzie Bulowie kilka dni gospodarowali, przepadło wszystko. Mszał zwróciła nam misja protestancka w stolicy Bulów Ebolowa. Ornat, w kilka lat później, odebrał pewien kupiec naczelnikowi szczepu Nyem, który go przyodziewał w dni uroczyste.

Rebelja Bulów nie skończyła się prędko. Jak długo sytuacja pozostawała niejasna, misjonarze mieszkali w budynku starostwa i dopiero 16 października odważyli się powrócić do domu, aby go wkrótce opuścić z powodu ukazania się nowych band nad wybrzeżem.

Rząd musiał zarządzić kilka ekspedycyj karnych, aby uspokoić Bulów. Zupełny pokój nastąpił dopiero w jesieni następnego roku.

Przez przeciąg 10 miesięcy praca misyjna zupełnie prawie zamarła, rozbiegła się młodzież szkolna, kościół świecił pustką, bo tylko drobna ilość osób z pobliza przychodziła na niedzielne i świąteczne nabożeństwa.

Najwięcej ucierpiał zakład sióstr. Trzeba go było odbudować od fundamentów. Na głównej stacji odrestaurowano kościół i zabudowania gospodarcze, atoli dom mieszkalny i szkoła tak były uszkodzone, że musiano je zburzyć i stawiać na nowo.



## XI.

### KRIBI W LISTOPADZIE 1902 r.

*Zabójczy klimat. — Ks. Rektor H. — Dom mieszkalny. —  
Dysharmonja. — Wieczór na werandzie. — We własnej celi.  
Marzenia.*

Przedstawiona w krótkości historia rozwoju stacji misyjnej w Kribi, to tylko zewnętrzna szata naszej działalności, a Bogu samemu wiadomo, ile kryje się pod nią cierpień, ile ofiary, ile wytrwałości wśród ciągłych zawodów.

Zbrojny napad Bulów wpłynął nadzwyczaj ujemnie na dalszą pracę apostolską.

Odbudowa zniszczonych budynków, starania misjonarzy o fundusze, bieda, jaka ich obśiadła, zepchnęła pasterzowanie nawróconych pogan i pozyskiwanie nowych wyznawców na plan drugi. Co gorsza, zabójczy klimat Afryki tak osłabił siły obydwóch księży, co przeżyli ciężką rebelję Bulów, iż do większych wysiłków stali się zupełnie niezdolni. Krótco przed mojem przybyciem jeden z nich, na skutek otzeczenia lekarza, został zmuszony udać się do Europy, aby ratować życie.

Pod nieobecność ks. prefekta, który udał się

na dłuższą objażdżkę parafjan Kribiańskich zamieszkałych wzdłuż wybrzeża i pozostających już od dwóch lat prawie bez opieki duchowej, powitał mnie w jego zastępstwie długoletni rektor stacji misyjnej ks. H..., wyszedłszy naprzeciw aż do wybrzeża zatoki.

O, jakże źle wyglądał: twarz blada, zsiniałe wargi, jakby nie posiadał krwi w żyłach. Musiałem iść pomału, krok za krokiem, bo, z powodu osłabienia, nie mógł mi nadażyć na krótkiej, prowadzącej nieco pod górę drodze.

W kościele już się ściemniło, gdyśmy na stopniach ołtarza odmawiali pacierze dziękczynne. Potem poszliśmy do domu, oddalonego tylko o dziesięć kroków od kościoła.

Dom, dopiero co wybudowany, spoczywa na murowanych filarach, o wysokości 4—5 metrów. Na nich są ułożone lagry belek i podłoga, ściany sporządzone są z heblowanych desek, dach pokryty jest blachą falcowaną.

Idziemy schodami, które prowadzą na piękną werandę, a stamtąd do dalszych ubikacyj. Wszystko dziś oświetlone i przystrojone na nasze przyjęcie.

Spoglądam przez otwarte okno werandy, Tuż u mych stóp rozlewa się morze. Na jego wodach lekko kołysze się „Nachtigall“. Światło latarni morskiej rzuca na zatokę jaskrawe refleksy. Gwiazdy już błyszczą na niebie — cichy, tropikalny wieczór otula całą przyrodę ciemnym całunem.

Czemuż to w tym cudnym kraju tyle bólu i cierpień? Skąd ta dysharmonja pomiędzy ro-



*Stacja misyjna w Kribi.*

ześmianą słońcem i kwieciami ziemią, a mojem sercem? Czemuż to pierwsze chwile mego po-

bytu w tym uroczym zakątku przepojone są smutkiem?

Ale oddalam te pierwsze smutne wrażenia. Jak każdego młodego misjonarza, tak i mnie ożywia nadzieja i dodaje mi otuchy. Taka już wola Boża, że gdy jedni ustępują, lub giną, nowi wstępują na szaniec. A gdzie serce bez wszelkich zastrzeżeń odda się Bogu, otoczy je Jego potężna łaska, ta łaska, o której św. Paweł pisze, że „wszystko może w Tym, który go umacnia“.

Nie odczuwam wcale zmęczenia. Wieczór spędzam wspólnie z ks. rektorem i z braćmi: bratem Janem i bratem Robertem, starymi kameruńskimi bywalcami. Gawędzimy długo, bo wiele mamy sobie do powiedzenia. Z zapartym oddechem przysłuchuję się opowiadaniom towarzyszków o ich przeżyciach i planach na przyszłość.

Tymczasem księżyc wytoczył na niebios sklepieniu swą pyzatą twarz i z dumą począł przyglądać się naszej gromadce.

Późno już w noc udaliśmy się na spoczynek. Idę do przeznaczonej mi celi. Pokoik wcale przyjemny. Zawieszam na ścianie krzyż misyjny i obrazek św. Alojzego, mego patrona, robię krótki przegląd rzeczy, a potem wsuwam się pod siatkę nad łóżkiem, chroniącą przed ukłuciem moskitów, rad, że nareszcie, po czterotygodniowej tułaczce odpocznę we własnym domu.

Ale zasnąć nie mogłem.

Od morza dochodził mię szum fal, światło

latarni morskiej zaglądało mi w oczy, w sąsiedniej jadalni zegar ścienny poruszał leniwie wahadło.

Myśli moje pobiegły daleko — do mej ojczyzny, do domu moich kochanych rodziców, do portu Hamburskiego, do mojej kajuty na parowcu, okrążyły maszty „Eleonory“, czepiały się lin, poręczy, pokładu parowca, gawędziły z towarzyszami mej podróży, cieszyły się widokiem tropikalnej przyrody, malowały mi w fantazji nowe kraje, nowe miasta, nowy świat nieznany. A potem widziałem wielką liczbę pogan nowonawróconych u stóp Jezusa, z radością na twarzy i śpiewem na ustach.

Czy były to tylko marzenia?

Czego tak często pragnąłem—teraz stało się rzeczywistością. Gdy minie noc i zaświta poranek, nie trzeba mi już będzie prosić Boga o łaskę zostania misjonarzem. Już nim jestem. Wielkie pole pracy otwiera się przedemną: mogę zbawiać dusze — wiele, bardzo wiele dusz tych biednych czarnych plemion, które jeszcze siedzą w ciemnościach i w cieniu śmierci.

Czy podołam memu zadaniu, czy spełnię moje powołanie?

O, Panie, pragnę tego z głębi mej duszy!

## XII.

### PIERWSZE DNI W KRIBI.

*Moja nowa siedziba. — Kościół św. Józefa. — Historia krzyża. — Ogród misyjny. — Plantacje kawy. — Osada murzyńska. — Zakład Sióstr. — Dzielnica europejska. — Stosunki towarzyskie. — Zły przykład Europejczyków. — Stosunki handlowe. — Gmachy publiczne. — Budowa mostu.*

Następnego dnia, zaraz po odprawieniu Mszy św. i po spożyciu śniadania, śpieszę, aby zaznaczyć się z nową moją siedzibą.

Kribi, jako miejscowość, nie ma w sobie nic szczególnego. Piękne jest tylko jego położenie.

Mała zatoka morska, rozlewająca się prawie tuż pod naszym domem, ujęta w skały i pagórki, wspaniale ozdobiona żywym wieńcem palm, bananów i innych krzewów podzwrotnikowych, sprawia wrażenie kosztownego klejnotu, wprawionego w książęcy diadem.

Po prawej stronie misyjnego ogrodu szmerze wartki strumień rzeczki Kribi. Śledzę jej bieg aż do ujścia w zatokę, gdzie na lewo wyłania się z zieleni drzew masyw latarni morskiej, poza nią bieleją zabudowania naszych Sióstr, na prawo zaś widać długi szereg domów różnych firm handlowych.

To miasto europejskie.

Gdy patrzę z werandy, wzrok gubi się w srebrzystym bezmiarze wód oceanu Atlantyckiego, sięgającym aż do Ameryki południowej, do miast Rio de Janeiro i Buenos Aires.

Gdy dzisiaj, zstępując ze stopni ołtarza, spoj-



*Lafarnia morska.*

rzałem przez otwarte drzwi kościoła na morze, miałem przed sobą symbol potęgi, wieczności i nieskończoności tego Boga, którego po wyrzeczeniu słów konsekracji, miałem piastować w swych rękach.

Temu właśnie otoczeniu zawdzięcza nasz, zresztą skromny kościół, niezaprzeczony urok.

Wstąpiwszy do wnętrza uderza oko wielki krzyż. Moi konfratry opowiadali mi wczoraj jego historję.

Przed kilku laty przybyła do Kribi po raz pierwszy karawana, złożona z mężczyzn, należących do szczepu Jaunde, z ludzi dzikich, którzy nigdy jeszcze nie słyszeli o Odkupieniu. Gdy wstąpili do kościoła, widok rozpiętego Jezusa bardzo ich przeraził. Wróciwszy do swoich, ze zgrozą opowiadali o strasznej egzekucji, spełnionej na jakimś nieszczęśliwym. Niebawem jednak dowiedzieli się o jej znaczeniu. Zrozumiawszy, że to za nich i dla nich cierpiał Bóg-człowiek, tak długo błagali ks. prefekta o misjonarzy, dopóki ich prośbom nie uczynił zadość.

Dzisiaj w ojczyźnie szczepu Jaunde, oddalonej o 30 mil od morza na zachód, znajduje się kwitnąca stacja misyjna, o której będzie jeszcze mowa.

Boczne ołtarze są proste. W jednym znajduje się obraz Najśw. Marji Panny, a w drugim obraz św. Józefa. Kościół wiele ucierpiał w czasie powstania Bulów, wszędzie można oglądać na nim ślady kul i liczne uszkodzenia.

Przez cały dzień wałęsam się po stacji. Szkoła do tej pory niewykończona, budynki gospodarcze od biedy ponaprawiane. Całość przedstawia się smutno i czeka na lepsze czasy. Szkoda, że Bulowie nie zniszczyli wszystkiego doszczętnie. Znalazły się pieniądze na postawienie domu mieszkalnego, byłyby się musiały zna-



leżć i na wzniesienie kościoła i na odbudowę reszty.

Szeroka, cienista aleja drzew chlebowych i mangowych dzieli przyległy dziesięciomorgowy ogród misyjny na dwie części. Po prawej ręce urządzono cmentarz i ogród warzywny, po lewej założono plantację kawy, zajmującą około dwie trzecie całego obszaru. Pięć do siedmiu metrów wysokie drzewka kawowe wypuszczają gałązki od samej ziemi i rosną piramidalnie, podobnie jak nasze świerki lub sosny. Symetryczny kształt tych drzewek, jak i świeża zieleń, jaką otrzymały po porze deszczowej użycza im nie mało uroku. Kawy nam więc nie zabraknie. Pytanie tylko, jaki to gatunek.

Z farmy kawowej prowadzi droga przez osadę murzyńską do Sióstr Pallotynek. Murzyni siedzą przed chatami, na nasz widok powstają z szacunkiem i pozdrawiają nas uprzejmie.

Nauczyłem się pierwszego wyrazu w języku Batangów: „mbolo“ bądź pozdrowiony. Powtarzam je odważnie przy każdej sposobności, aby pozyskać zaufanie mych parafjan. Wieś murzyńska jest mi już znana. I tu w Kribi nic nie znalazłem ciekawego. Zresztą na dokładniejsze zapoznanie się z nią będę miał jeszcze dosyć czasu.

W przeciągu 10 minut jesteśmy w zakładzie Sióstr. Wszystkie budynki są zupełnie nowe. Dom mieszkalny znajduje się tak blisko morza, iż w czasie odpływu dzieci bawią się na jego brzegu, a Siostry urządzają sobie przechadzkę.



*Kribi -- dzielnica czarnych.*

Na werandzie, zwróconej ku zatoce, przygotowano herbatę. Gawędzimy wspólnie, dziewczęta murzyńskie popisują się śpiewem. Dopiero z nastaniem wieczora opuszczam to miłe zacisze.

Cały następny dzień poświęciłem na zwiedzanie europejskiej dzielnicy. Mieszka tutaj około 50 Europejczyków: kupców, lekarzy, urzędników



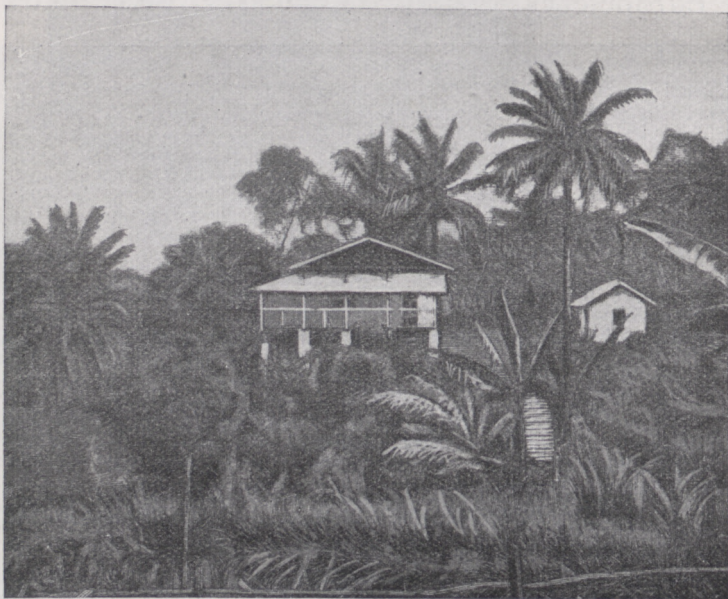
*Zakład Sióstr.*

i kilku oficerów. Według przyjętego zwyczaju składam wszystkim wizytę. Przyjmują mnie uprzejmie, a żegnając wyrażają nadzieję, że będę ich w przyszłości częściej odwiedzał.

Nie jest to zdawkowa grzeczność, lecz szczere zaproszenie, bo stosunki towarzyskie między nimi a stacją misyjną były zawsze dobre. Starosta, ro-

dem z Bawarji, jakkolwiek katolik, życiem swem nie bardzo zaznacza przynależność do katolickiego Kościoła, za to naczelnik poczty, ślązak, buduje wszystkich swą pobożnością.

Oprócz tych dwóch panów, wszyscy inni są protestanci. To im jednak nie przeszkadza uczest-



*Dom dla przyjezdnych.*

niczyć w nabożeństwach, zwłaszcza podczas uroczystości galowych.

Naprzykład w dzień urodzin cesarza przychodzą gremjalnie do kościoła, a zasiadłszy w ławkach, uważnie śledzą czynności kapłana podczas Mszy św. i chętnie słuchają nauki bo, jak sami twierdzą, więcej im przemawia do przekonania

kazanie katolickiego kapłana, aniżeli pastora, którego nie lubią i nie poważają.

Niestety, z boleścią muszę podnieść, iż Europejczycy, pod względem moralności, dają murzynom przeważnie zły przykład. Jest to bardzo smutna karta w dziejach misyjnych i to nie tylko w Kamerunie, lecz po całym świecie.

Już św. Franciszek Ksawery, apostoł Indyj, uskarżał się na to w swych listach. Atoli nowo-



*Szpital.*

żytne pogaństwo, uprawiane przez Europejczyków na terytorjach misyjnych, bezwątpienia więcej tamuje postęp wiary katolickiej wśród ludów Afryki i innych części świata, aniżeli dawniejsze zepsucie obyczajów.

Bezwątpienia ani kupiec, ani urzędnik, ani wojskowy nie udaje się do Afryki w celu nakłaniania czarnych do świątobliwego życia. Ale

przecież najzwyczajniejsza miłość bliźniego, własna godność, jak i godność narodu, który reprezentują, nakłada na każdego z nich obowiązek bodaj takiego życia, aby od wiary nie odstępować pogan.

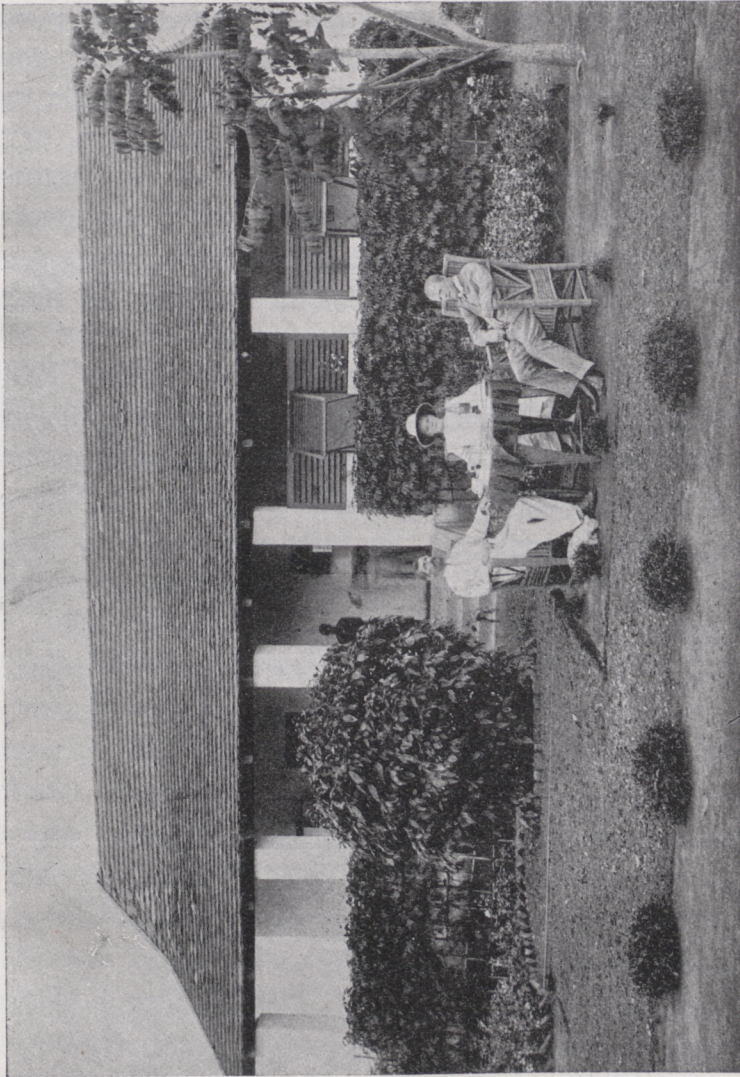
Gdy swego czasu przedstawiciel partji katolickiej wniósł w parlamencie berlińskim interpelację z powodu niemoralności funkcjonarjuszów państwowych w Kamerunie, inni posłowie wyrazili zdziwienie, jak można od takiego urzędnika wymagać więcej, aniżeli wymaga się od niego w kraju.

W Europie nikt się nie pyta, dokąd uczęszcza urzędnik wieczorem, co porabia w nocy, a tego chcieliby żądać od nich w Afryce?

Na skutek wspomnianych rozpraw parlamentarnych polepszyły się jednak stosunki o tyle, iż Europejczycy nie biorą przynajmniej tych czarnych do swych posług i nie obciążają ich sumienia niemoralnymi wymaganiami, którzy wykazują się świadectwem chrztu św. wystawionem przez naszych księży.

Miasto Kribi dopiero zaczyna się rozbudowywać. Ponieważ tutaj zbiegają się wszystkie drogi karawanowe z głębi lądu i stąd wyruszają wszystkie ekspedycje wojskowe i urzędowe, jest więc nadzieja, że w niedługim czasie, z wzrostem stosunków handlowych, osiągnie znaczenie pierwszorzędnego miasta portowego na wybrzeżu Kamerunu.

Już teraz niektóre gmachy, jak: starostwo,



W gościnie.

szpital, poczta prezentują się bardzo dobrze, a i rozległe budowle około dziesięciu firm handlowych nie pozostawiają nic do życzenia. Pro-

wizoryczny most drewniany, położony ponad rzeką Kribi, łączy miasto europejskie ze stacją misyjną i z osadą murzyńską. Lecz niedługo jego istnienie, bo rząd już w roku przyszłym przystąpi do budowy żelaznego mostu na betonowych filarach, z uwzględnieniem ruchu osobowego i towarowego.

Wracamy właśnie starym mostem do naszej siedziby misyjnej.

To byłby ogólny obraz miasteczka Kribi. O bliższych szczegółach odnoszących się przede wszystkim do życia jego mieszkańców, pomówimy w dalszych ustępach.



### XIII.

#### PIERWSZE ZABIEGI APOSTOLSKIE.

*Ks. Vieter. — Hangué enene. — Smutny obraz. — Bolesne spostrzeżenie. — Filjalna stacja misyjna w Buambe. — Brat Jan. — Epelani. — Drobne powodzenia. — Wróg misjonarza.*

Przy końcu pierwszego tygodnia mego pobytu w Kribi, powrócił ks. prefekt Vieter z podróży misyjnej.

Ks. Vieter to prawdziwy typ misjonarza. Znałem go wprawdzie z fotografii, lecz co innego obraz, a co innego rzeczywistość. Teraz mam go przed sobą, słucham jego głosu i trzymam jego dłonie w mojej. Długa, siwiejąca przedwcześnie broda, nadawała jego imponującej postaci, o wiele przewyższającej wzrost takich, jak ja, zwyczajnych śmiertelników, jeszcze więcej powagi i godności. Chociaż biała, jak opłatek, cera zdradza zmęczenie i wyczerpanie, to jednak twardy, żelazny, organizm opiera się już długie lata zwycięsko wszelkim atakom zabójczego klimatu. Jak dęby w lasach Westfalji, gdzie się urodził, tak i on stoi silnie na stanowisku kierownika misji, nie ustępuje ani na piędź najrozmaitszym trudno-



*Ks. Vieter P. S. M. Wikariusz apostolski.*

ściom. Murzyni nazywają go „Hangue enene” —  
wielkim panem, Europejczycy swoim Nestorem.  
Bardzo mi było na rękę, że pod jego kie-

rownictwem przyszło mi stawiać pierwsze kroki na polu misyjnej działalności, że razem z nim obmyślałem i układałem najpewniej prowadzące do celu plany.

A czekała mię praca wielka i nagląca.

Kribi cieszyło się wprawdzie pięknem położeniem, posiadało nowy, dobrze zbudowany dom mieszkalny i kościół ostatecznie możliwy, ale zato stan mieszkańców pod względem religijnym przedstawiał się ujemnie i pozostawiał wiele do życzenia. Dawne życie chrześcijańskie, które tak świetnie się rozwijało i rokowało najpiękniejsze nadzieje, słabem zaledwie biło tętnem, a w odleglejszych osadach nawet zupełnie zamarło. W samym Kribi liczba uczniów spadła z 150 na 20, po wioskach nie było ani jednego. Na nabożeństwa w naszym kościele uczęszczała tylko garstka wiernych, a wielu, zwłaszcza z niedawno nawróconych pogan, porzuciło zupełnie praktyki religijne i powróciło do starych obyczajów pogańskich.

Ze łzami w oczach opowiadał mi Ks. Prefekt o smutnych spostrzeżeniach, jakie poczynił podczas ostatniej swej podróży. Wszędzie znajdował błądzące owieczki, garnał je do siebie, pocieszał jak mógł, napominał, pouczał, i udzielał Sakramentów św.

Koniecznien trzeba było jak najprędzej obmyśleć sposób obudzenia zamarłego życia z wiary.

Jako nowa, żadną słabością nietknięta siła, oddałem się bez zastrzeżeń do dyspozycji ks. prefekta.

Stańło na tem, że ks. prefekt pozostał w Kribi, na miejsce ks. rektora, który wybierał się z powrotem do Europy, ja zaś miałem sobie wybrać jedną ze stacyj filjalnych.

Wybrałem Buambe, najbliższą osadę, oddaloną o 10 km. od Kribi. Na towarzysza przeznaczono mi brata Jana, starego misjonarza, stolarza z zawodu, który w Kamerunie pracował potrosze jako murarz, piekarz, kucharz, organista i t. d. — był to taki majsterek od wszystkiego, istne factotum.

Przed wyjazdem postarałem się o reklamę dla mego przedsiębiorstwa. W tym celu wysłałem do Buambe posłańców, aby zwiastowali tamtejszym mieszkańcom, iż w niedługim czasie przybędę do nich na stałe z braciszkiem, że w planie leży odbudowanie kaplicy i wskrzeszenie szkoły.

Ku mej wielkiej radości już po kilku dniach zjawilo się z Buambe około 12 chłopców, którzy ofiarowali mi swoje usługi. Zgłosił się też jeden z dawniejszych pomocników nauczycielskich, niejaki Epelani.

Z egzaminu, jaki z nim urządziłem, nabrałem przekonania, że wiele rzeczy zapomniał, ale ponieważ wyglądał na człowieka energicznego i zdradzał dobrą wolę — zatrzymałem go. I dobrze zrobiłem, bo powoli uzupełnił braki i wyrobił się na sumiennego nauczyciela. Do końca mego pobytu w Kamerunie pracowaliśmy wspólnie, a po moim odjeździe pozostał nadal przy misji.

Te drobne powodzenia wprawiły mnie w do-

skonały humor. Cieszyłem się jak dziecko i z niecierpliwością oczekiwałem dnia, w którym wyruszę na nową placówkę. Ks. prefekt, jako wytrawny misjonarz, wiedząc dobrze, iż skrzydła mego entuzjazmu podetnie wkrótce twarda, szara rzeczywistość, uśmiechał się tajemniczo, atoli, nie chcąc mącić mego szczęścia, nie wspominał o tem ani słowem.

Stary brat Jan cieszył się razem ze mną, bo taka to już była pocziwa dusza, iż umartwienia i niedostatki, jakie go spotykały, sprawiały mu radość.

Febra, największy wróg misjonarza, nie odważyła się do tej pory do mnie przystąpić, lecz czaiła się gdzieś w zaroślach.

2—3 razy na tydzień, podobnie jak wszyscy domownicy, zażywałem dozę chininy, która conajmniej przez dwie godziny sprawiała mi nieznośny szum w głowie i wojowała w żyłach i w kościach.

Nigdy nie mogłem pochwalić się silnem zdrowiem, zawsze należałem do cherlaków, a jednak tutaj czuję się dość dobrze. Trawię chininę jak struś, pocę się obficie i śpię kamieniem.

Normalna temperatura ciała dorosłego człowieka wynosi 37°.

U mnie wykazuje termometr 36,7° albo 36,8° — ciepłotę nieco niższą.

Według zgodnej opinii tutejszych znawców, stan taki, zwłaszcza u początkujących kameruńczyków, nie jest zupełnie poprawny, ale też nie grozi niebezpieczeństwem.

## XIV.

### BUAMBE.

*Wzdłuż morza. — Sine pera et calceamentis. — Sztuki gimnastyczne. — W wsi Buambe. — Oplakany stan kaplicy. — Smutna gospodarka klimatu afrykańskiego. — Praca murzynów. — Polowanie na myszy, szczury i węże. — Uczta myśliwska. — Wizyta miejscowych dygnitarzy. — Stare murzynki. — Przemysłny braciszek. — Noc w kościele. — Niech żyje Afryka!*

Droga do Buambe prowadzi brzegiem morskim. Czekamy na odpływ wody, która odłoni nam wzdłuż morza wygodną, niby bruk miejski, ścieżkę. Chłopcy, którzy przed kilku dniami przybyli [z Buambe idą teraz z nami i dźwigają na czarnych, kędzierzawych głowach najpotrzebniejsze rzeczy do urządzenia domu, a więc garnki, talerze, filiżanki, przyrządy stolarskie, zapasy kuchenne, ubranie, bieliznę, a wreszcie naczynia i ornaty kościelne. Orszak nasz przedstawia się jako mała karawana. Jestem dumny, że dowództwo jej spoczywa w mych rękach.

Jeszcze Kribi nie zniknęło nam z oczu, a już brat Jan zrzuca z nóg obuwie, zdejmuje surdut i maszeruje boso, tylko w koszuli i w spodniach. Jako posłuszny nowicjusz idę za jego przykładem



Чхотцы з Буамбе.

i tak obydwaj podążamy naprzód, stosując się do polecenia Pisma św.: „sine pera, sine calceamentis“ — bez torby, bez butów.

Od czasu do czasu napotyamy mniejsze lub większe kałuże, napełnione wodą, pozostałą po odpływie morza. Niektóre przesadzamy skoki, inne tworzą już poważniejszą przeszkodę i nie dadzą się tak łatwo sforsować.

Nie przejmuję się tem jednak zbyt, bo widząc, jak sobie radzi braciszek, nie potrzebuję przemyślać nad sposobami przeprawy, lecz wiernie wstępuję w jego ślady. Podziwiam jego małpią zwinność, z jaką wdrapuje się na grzbiet murzyna, który go przenosi na drugą stronę.

I ja usiłuję uczynić to samo. Nie mogąc atoli narazie dokonać tej sztuki, sadowię się na splecionych, niby ławeczka, rękach dwóch chłopców, obejmuję ich szyję i wygodnie przebywam błotniste jeziorko.

Wiedziony jednak ambicją, postanawiam za wszelką cenę dorównać, przy najbliższej sposobności, bratu Janowi. Nie jest to tak łatwo. Ale na cóż uczyłem się tyle lat gimnastyki w szkole? Po kilku próbach doszedłem wreszcie do rozwiązania trudności. Cała rzecz polega na tem, aby usiąść na karku murzyna, zwieszzone nogi powierzyć zupełnie jego opiece, rękami uchwycić się czarnej czupryny i nie oglądać się, ani kręcić.

Bliskość morza, piękność przyrody, śpiew chłopców, uprzyjemniają nam podróż. Od czasu do czasu spotykamy jakiegoś czarnego obywa-



tela, dążącego ku Kribi, tu i owdzie mijamy małe chaty murzyńskie, skupione w drobnych grupkach nad morzem.

Po półtoragodzinnym marszu stajemy w Buambe. Zegarek wskazuje godzinę 10. We wsi zastajemy tylko starców i dzieci, bo mężczyźni łowią ryby, a kobiety pracują w polu. Wkrótce jednak wieść o naszym przybyciu rozeszła się szybko i zgromadziła prawie całą ludność, która nas wita z radością.

Ja znowu szafuję na wszystkie strony murzyńskim pozdrowieniem „mbolo“. A nawet odważam się na inne wyrazy, któremi w międzyczasie wzbogaciłem szczupłe wiadomości z zakresu słownictwa idjomu Batangów. Ale, jak widzę, nie wiele przyniosła mi pożytku dorywcza nauka. Murzyni nie rozumieją mnie wcale, mimo to każde moje słowo witają z widocznym szacunkiem.

Kaplica znajduje się w opłakanym stanie. Do tego przyczynili się nietylko Bulowie, ale i klimat gorący, a przede wszystkim mrówki, które w ogromnej ilości wędrując pod ziemią, niszczą wszystko co napotkają. Prawdziwa to plaga Kamerunu. Zdarza się nieraz, iż drzewo wygląda napozór zupełnie zdrowe, atoli przy pierwszym uderzeniu siekiery rozpada się, niby domek z kart, w drzazgi, bo wewnątrz jest zupełnie stoczone przez te żarłoczne owady. Podobnie rzecz ma się ze ścianami domu, chyba że są sporządzone z materiału wytrzymałego jak żelazo.

Badamy kaplicę i przekonujemy się, że wszystkie belki i słupy są spróchniałe, a tylko kilka, wyciosanych z nadzwyczaj twardego, czerwonego drzewa, oparło się zniszczeniu.

Dzięki blasze falcowanej, którą pokryto ściany do połowy i dach, budynek utrzymuje się jeszcze w całości i umożliwia jaką taką naprawę.

Ale jak to wszystko wygląda odstrasza! Otwieramy główne drzwi i zaglądamy do środka. Uderza nas niby obuchem, stęchłe, wilgotne powietrze, wewnątrz zarośnięte zupełnie krzewami i zielskiem, sięgającym nieraz sufitu — a w tej gęstwi pełno robactwa, myszy i szczurów. Musimy mieć się na baczności, bo z pewnością i węże jadowite mają tu swoje gniazda.

Jeszcze 'gorzej przedstawia się obejście kaplicy. To prawdziwy las drzew i krzewów, poprzerastanych t. zw. trawą słońca, dochodzącą do kilku metrów wysokości.

Niema się co namyślać. Trzeba przystąpić do pracy. Najpierw oczyścimy plac około kaplicy, przynajmniej w 10-cio metrowym promieniu, aby ułatwić przystęp powietrza i światła, a potem zrobimy porządek wewnątrz. A musimy się śpieszyć, bo inaczej nie mielibyśmy gdzie przenocować.

Rozporządzamy 60 ludźmi, których nam przysłał naczelnik wioski do pomocy. Widzę po raz pierwszy, jak oni pracują. Murzyni nie używają przy pracy ani naszej łopaty, ani siekiery, lecz posługują się około 70 cm. długim nożem,

sporządzonym z grubej blachy, nazwanym z angielska kotlesem.

Mocno pochyleni ku ziemi, albo siedząc w kuczki, kopią, czyszczą, tną, rąbią i zabijają tym nożem, co im się tylko pod rękę nawinie. Kotlesem krają chleb, kotles zastępuje im nawet łyżkę.

Robotę wykonują z wielką ostrożnością. Po oczyszczeniu dziedzińca kościelnego, wycinają zielsko przy drzwiach głównych, mniej więcej na 2 metry szeroko wewnątrz kaplicy i wznecają na posadzce betonowej wielki ogień, raz, aby oczyścić powietrze, ale więcej dlatego, aby wypłoszyć wszystkich niepożądanych lokatorów.

Gdy ogień rozpali się należycie, rozpoczyna się polowanie, bo gąsienice, szczury i myszy, a przede wszystkim źmije przedstawiają dla murzyna taką samą wartość pod względem gastronomicznym, jak dla naszych smakoszków bażanty luk kuropatwy.

W tym celu otaczają wieńcem całą kaplicę i czekają. Urządzili się sprytnie. Wycinając najpierw chwasty na podwórzu, wpędzili zwierzynę do kościoła, a teraz rozpalony ogień wypędza ją z kościoła wprost do ich rąk. Schwytane z zadziwiającą zręcznością myszy i szczury wrzucają natychmiast do zawieszzonego nad ogniem kotła.

Z węzami trudniejsza sprawa, ale i z nimi dawali sobie radę. Gdy tylko taki gad wypełznął z kaplicy, otaczali go wszyscy kołem, które zwężali coraz więcej, aż jeden z mężczyzn, szybko

kotlesem odcinał mu głowę, a za nim inni siekali go na kawałki.

Po skończonem polowaniu następowała uczta myśliwska, tem smakowitsza, iż odemnie otrzymali nieco pieprzu i soli do przyprawy. Humory poprawiły się i zwiększył się zapał do dalszej pracy, bo murzyn wtedy tylko pracuje należycie, gdy jest syty. Zresztą niema się czemu dziwić. Czyż i u nas kwestja żołądka nie ma takich samych walorów? Wszak znane jest przysłowie „Polak zły, jak głodny”.

Około godziny 4 popołudniu robota była skończona, dziedziniec oczyszczony, kaplica uporządkowana i wymyta. Gorące promienie słońca osuszyły nagromadzoną wilgoć, a lekki wietrzyk wieczorny od morza napełnił kościół świeżem, ożywczem powietrzem.

Przekonuję się dopiero teraz, że kaplica jest dość obszerna, że jest to raczej mniejszych rozmiarów kościół o linjach wprawdzie prostych, ale stylowych.

Nawa kończy się, jak zwykle, absydą, z wielkim ołtarzem do której przylega zakrystja. Mensa ołtarza i stopnie sporządzone z twardego drzewa, znajdują się w dobrym stanie. Remont budynku okazuje się możliwym. Myślałem, że będzie gorzej.

Położenie stacji piękne. Wzgórze, na którym zamieszkał, dominuje nad całą wioską. I stąd, podobnie jak w Kribi, roztacza się wspaniały widok na morze.

Brat Jan krząta się ustawicznie. Wszystkiego sam dogłąda, wszystkim kieruje, do każdej czynności sam przykłada rękę, a od czasu do czasu zanuci sobie wesoło piosnkę. Właśnie teraz szykuje nocleg w zakrystji, a potem weźmie się do przyrządzenia wieczerzy. Ciekaw jestem, jakie też menu wymyśli?



*Kościółek w Buambe.*

Nad wieczorem zaszczytli mnie wizytą miejscowi matadorzy, a więc naczelnik wioski, jego doradcy i liczne grono chrześcijan. Witają mnie głębokim ukłonem i z niekłamaną radością. Rozpoczyna się rozmowa za pośrednictwem Epe-lani'ego, który spełnia funkcje tłumacza. Konwersacja trwała czas dłuższy, a zdziwienie, malu-

jące się od czasu do czasu na twarzach mych gości, nasuwało mi podejrzenie, iż Epelani, nie rozumiejąc mych słów należycie, tłumaczy je w zupełnie innym znaczeniu. Co on im tam napłół, to już jego tajemnica.

Po odejściu oficjalnej deputacji, spieszę na brzeg morza, gdzie zgromadziła się niemal cała wioska, oczekując mego przybycia.



*Epelani.*

Już zdala dochodzi mnie bezładny gwar hałaśliwej rozmowy tłumu. Z mem przybyciem nastaje bezwzględna cisza, przerywana od czasu do czasu pokaszliwaniem, lub głębokiem westchnieniem, tylko oczami lustrują mnie badawczo.

Widocznie egzamin wypadł pomyślnie, bo powoli zbliżają się ku mnie i kordjalnie ściskają moją dłoń. Najśmielej poczynają sobie stare murzynki. Z uśmiechem na ustach i poufałością obstepują mnie w koło, dopytując się o Ks. K., który przez jakiś czas pracował w Kribi i w Buambe. Był to kapłan nad wyraz dobry i wesoły. Najwięcej interesował się właśnie takimi babkami, wyszukiwał je, pouczał, i chrzczył jedną po drugiej.

Dopytują się o niego, a z oczów ich czytam, że go jeszcze teraz kochają. „Ks. K. żyje i, być może, że jeszcze was odwiedzi“, odpowiadam, „ale czy wy pamiętacie jego nauki? Czy umiecie

przeżegnać się należycie? — Ogólna konsternacja. — Podnoszą rękę do czoła, mruczą coś pod nosem, kreślą jakieś znaki na sobie, jakby motały nici. Zawstydzone, tłumaczą się jak mogą: „Dawniej umiałyśmy żegnać się dobrze i pięknie odmawiać modlitwy, ale cóż?” mówią żałośnie: „Bulowie zabrali nam wszystko“.

Zbyt czuję się zmęczonym, aby dłuższy czas przebywać w towarzystwie swych owieczek. Wra-



*Wies Buambe.*

cam więc, bo łatwo mogę zasłużyć sobie na burę brata, który z pewnością czeka na mnie z wieczerzą.

Rzeczywiście wieczerza już gotowa. Zabieramy się do spożycia darów Bożych. Za stół służy nam wywrócona do góry dnem paka.

W zakrystji nie będziemy nocować z powodu licznych dziur, powyrywanych kulami Bu-

łów, przez które mogłyby się łatwo przedostać do nas jadowite węże i inne niebezpieczne żyjątki.

Przenosimy się do kościoła i wspólnie z Janem ustawiamy dwie prycze z desek.

W Duala i Kribi spałem pod siatką moskitową. Tutaj nic takiego nie posiadamy. Zresztą brat Jan niewiele przywiązuje wagi do tego rodzaju środków ochronnych, sądząc, że bez takich wygód można być dobrym misjonarzem. Zgadzam się z nim najzupełniej, tembardziej, że dziś przecież spędzimy noc w świątyni, gdzie lekarze nie mają nic do mówienia, tylko Bóg i Jego aniołowie.

Copravda nie spałem świetnie. Okropnie mi dokuczały moskity i budziłem się co chwila. Silny wiatr wygrywał w szparach ścian żałosne melodie, wciskał się do wnętrza i chodził bezkarnie po całym kościele. Księżyc świecił mi w oczy i zdawał się pytać z drwiącym uśmiechem: „no, i cóż dobrze ci w Buambe?”

Dlaczego miałyby mi być źle? Pocieszałem się w połowie.

Że tam moskity wpuszczą nieco jadu w mój organizm, że wyobraźnia moja przy każdym szmerze widzi pełzającego ku mnie grzechotnika, to i cóż wielkiego, alboż to nie mam obszernej sypialni, albo mi brak powietrza? Patrząc przez zakratowane okna, umieszczone wzdłuż sufitu pod samym dachem, pozdrawiałem błyszczące gwiazdy i cieszyłem się, że jestem tak blisko nieba.



W Europie trzeba mieć tyle przyborów do spania i łożko i materac i siennik i poduszkę i koc, a czasami nawet i piernat, a tutaj wystarczy jeden koc na posłanie, a drugi na przykrycie. Poduszkę zastępuje odzież owinięta na butach, a za łożko służy twarda deska. Niech żyje Afryka i jej bolesna prostota! Braciszek Jan uspakajał mnie, tłumacząc, że to wszystko drobnostka. Ciekaw jestem co w jego oczach przedstawia się jako rzecz ważna?

## XV.

### PIERWSZE BOŻE NARODZENIE W AFRYCE.

*Życie i praca misjonarza. — Przygoda wieczorna. — Przygotowanie gwiazdkowe. — Zapal czarnych chrześcijan. — Niezwykły obraz. — Pasterka. — Posłannictwo kapłana. — Marsz nocny. — Wielka Batanga. — Poranek fatalny. — Brat Robert i jego recepta. — Znowu w Kribi.*

Życie w Buambe było nieraz tak ciężkie, a praca taka mozolna, że byłbym z pewnością uciekł bodaj na kilka dni do Kribi, gdyby mnie brat Jan nie był trzymał mocno w karchach. A braciszek nie znał żartów.



*Minisfranf.*

Ileż to razy po męczących całodziennych trudach proponowałem nieśmiało skrócenie modlitw wieczornych! A czy uzyskałem choćby maleńkie ustępstwo? — Nigdy. Wierny regułom kochany i zacny braciszek nie opuścił ani jednej literki, lecz słowo za słowem, litanję za litanją, pacierz za pacierzem, recytował bez litości.

Tylko dwa razy w czasie adwentowym odwiedziliśmy wspólnie pobliskie Kribi

i to zaledwie na kilka godzin. Pozatem trwaliśmy na posterunku, jak żołnierz na warcie, braciszek przy warsztacie, a ja przy prowadzeniu szkoły i przy katechizacji dorosłych.

Praca około kaplicy tymczasem rażno postąpiła naprzód. Ale i tu braciszek mię nie oszczędzał. Gdy tylko spostrzegł, że nie jestem zajęty, zaraz znalazł dla mnie rozrywkę. To musiałem wrywać i wyprostowywać stare gwoździe, to łątać dziury w ścianach, albo malować pokostem świeże belki. Powoli jednak awansowałem w moich posługach. W trzecim tygodniu gospodarowałem już siekierą i heblem. Pociłem się przytem porządnie. Ale było to bardzo zdrowo dla mnie, bo w ciepłym klimacie najlepszym środkiem przeciw febrze jest pot obfity. Razem z potem uciekają wszystkie bakcyle i zarodki febry.

Miałem też w Buambe małą przygodę: Pewnego dnia musiał brat Jan udać się do Kribi po prowiant. Zostałem tedy sam na noc w naszej prowizorycznej siedzibie. Właśnie chciałem się schować do mego schroniska w kościółku, gdy zjawił się naczelnik gminy w towarzystwie dwóch starszych murzynów.

„Minisse“ (księżę), tak mówił „ty tu nie możesz pozostać“.

„A czemu nie?“.

„Na to odpowiedzieć nie możemy. Ale prosimy cię, abyś nas usłuchał“.

„A dokąd mam iść“.

„Chodź z nami do wioski, tam możesz prze-  
spać tę noc“.

„Za nic w świecie z wami nie pójdę. Ja  
tu nocowałem dwa tygodnie i tu zostanę“.

„Teraz jesteś sam jeden. Nie możemy po-  
zwolić, żebyś tu pozostał, bo cię kochamy“.

Odmówiłem im stanowczo.

Zaproponowali mi wtedy swoje własne to-  
warzystwo.

Ale i na to nie zgodziłem się.

Biedni murzyni nie wiedzieli co robić. Wi-  
działem, że nie chcą mię opuścić—siedzieli, ga-  
wędzili i palili swoje fajki. Nakoniec musiałem  
im jednak jasno i krótko powiedzieć, żeby so-  
bie szli do domu. Odeszli zasmuceni i zanie-  
pokojeni.

Noc była ciemna. Tylko mała świeczka pa-  
liła się w kościołku. Czułem się opuszczonym  
i jakoś dziwnie smutno mi było. Ciągle o tem  
myślałem, dlaczego ci ludzie nie chcieli mię zo-  
stawić samego. Czy tu mi grozi jakie niebez-  
pieczeństwo? Nareszcie zamknąłem drzwi koś-  
cielne, odmówiłem parę tajemnic różańca, poło-  
żyłem się, zasnąłem i spałem jak zwykle.

Dopiero na drugi dzień opowiadał mi Epe-  
lani, czego naczelnik się obawiał:

Na tem samem miejscu, gdzie obecnie stoi  
kaplica, składano niedawno jeszcze krwawe i gro-  
zą przejmujące ofiary z ludzi na cześć bożków,  
Odprawiwały się tu nocami tańce i orgje pogań-  
skie. Żaden murzyn nie odważy się przejść

tędy wieczorem, albo w nocy, zdaleka nawet omija to miejsce, żeby nie popaść w ręce złych duchów.

Małe to intermezzo miało dla mnie wielkie znaczenie. Odrazu stałem się bohaterem. Korzystałem też z tego podczas mego pobytu w Buambe i wyszedłem na tem bardzo dobrze.

Chociaż nie wiele mieliśmy czasu wolnego, jednak udało nam się tak dalece postąpić w pracy, iż mogliśmy obchodzić uroczyste Boże Narodzenie.

Nie zapomnę nigdy tej pierwszej gwiazdki na afrykańskiej ziemi.

Afryka jest biedna, ale posiada bogatą, zawsze żywą i kwitnącą przyrodę. To umożliwia misjonarzom zamienić nieraz ubogie kościółki w istny raj drzew, kwiatów i zieleni. W Buambe setki czarnych rąk przyczyniły się do tego.

Kościół wyglądał ślicznie. Najpiękniejsze kwiaty otaczały żłobek, a jaśniejące wokoło lampki przypominały wielką miłość Jezusa, którą objął te nieszczęśliwe narody pogańskie.

Z Wielkiej Batangi przybyli dwaj bracia. Jeden z nich zajął się śpiewem, a drugi wraz z bratem Janem służył do Mszy świętej. Czterech czarnych chłopców, przybranych w białe komeżki, uzupełniało asystę.

Cieszyłem się jak dziecko, ale najwięcej radości sprawiała mi gorliwość moich owieczek. Około 100 osób przystąpiło do spowiedzi i Komunii świętej. Przez kilka godzin musiałem sie-

dzieć kamieniem w konfesjonale, a potem jeszcze udzielić naukę, aby z należytem nabożeństwem przyjęli Pana Jezusa.

Około 9-tej wieczorem cały dziedziniec kościelny zapełnił się ludźmi. Przybyli nie tylko chrześcijanie, ale i poganie z pobliskich wiosek, którzy nigdy nie widzieli takiej uroczystości.

Zrobiło się gwarno i rojno, a gdy im pozwoliłem na rozpalenie ogniska, rozwiązały się ich języki i rozpoczęli śpiewać pieśni. Śpiewali naprzemian po łacinie, po angielsku, po niemiecku i w swoim własnym narzeczu.

Niezadługo po 11 godzinie rozpoczęło się nabożeństwo. Najpierw wygłosiłem krótką naukę.

Jakże proste i dostępne są prawdy wiary naszej świętej! Bóg stał się dzieckiem z miłości ku nam — to rozumieją i biedni murzyni, rozumieją i małe czarne dzieci, które tu widzę zgromadzone przed ołtarzem. Oczy ich jaśnieją, a serca biją radośnie.

Potem mówiłem o Najśw. Sakramencie. Trudno nieraz nam w Europie uwierzyć w wielki cud Przenajśw. Sakramentu, a przecież to takie naturalne i zrozumiałe. Tak łatwo o tem mówić, bo tak to wszystko przemawia do serca. Tu, w Afryce można się o tem przekonać. Dusza tych biednych narodów od wieków łaknęła pokarmu. Teraz o tem słyszą, teraz tu ten pokarm sprawuje się dla nich na ołtarzu.

Jakże wielka jest władza kapłana katolickiego! Jak wzniosłe jego posłannictwo! On, mocą

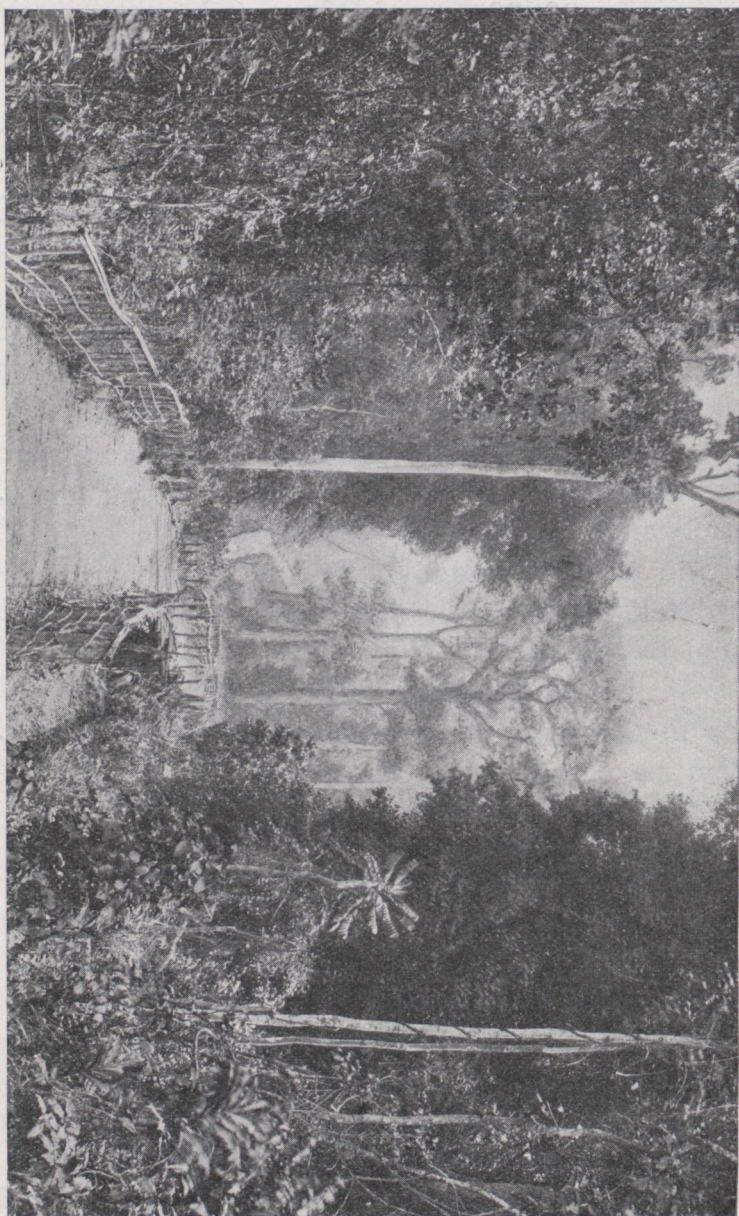
Jezusową, podnosi człowieka z głębi największej niedoli, jaką jest grzech, zbliża go do Boga, on umacnia jego zwałtione siły Chlebem Anielskim i zasiewa w biednej jego duszy pokój, jakiego świat dać nie może.

Gdy się widzi, jak wiara święta działa, uszlachetnia i porywa nawet serca nie uświęcone jeszcze wodą Chrztu św., wówczas ginie wszelka małoduszność, wówczas kapłan, mimo swej słabości, gotów jest na największe ofiary, wówczas czuje się olbrzymem, bo z nim jest Bóg.

Jedna tylko myśl napełnia smutkiem serce misjonarza: czemu nas tutaj jest tak mało. Nad całym wybrzeżem południowem pracuje zaledwie trzech kapłanów. A tam poza nami leży kraj tak wielki, jak Polska cała, nietknięty pługiem ewangelji.

A jednak przyjdzie czas, przyjdzie napewno i to niedługo, że te wszystkie stęsknione za Bogiem narody poznają Zbawiciela i będą chodzić w Jego świetle i cieszyć się Jego miłością. My jesteśmy pierwsi, jesteśmy ziarnem gorczycznem, ale za nami przyjdą inni, przyjdą i rozkrzewią się w wielkie drzewo, w którego cieniu zamieszka cała czarna Afryka. My żyjemy we łzach, a oni będą zbierać w radości.

Chociaż byłem bardzo zmęczony, musiałem jeszcze tej nocy udać się do Wielkiej Batangi, aby dla tamtejszych chrześcijan odprawić nabożeństwo. Zaraz po pasterce formuje się znowu karawana. Bracia pakują do skrzyń wszystkie



*Droga z Buambe do Wielkiej Batangi.*



nasze rzeczy. Około dwóch tuzinów chłopców zgłasza się aby nam towarzyszyć. Kładą sobie znowu wszystko na głowy — żwawo i wesoło ruszamy w drogę. Ja jednak ledwo idę. Tymczasem czarni są najlepszej myśli: oni lubią nocne wędrówki — śpiewają, skaczą i klaszczą w ręce.

Około trzeciej nad ranem przybywamy do Batangi. Pot leje się ze mnie strumieniem, dręczy mię pragnienie, opadam z sił zupełnie.

Daremnie próbuję zasnąć. Ciężkie, parne powietrze wypełnia pokój, w którym ułożyłem się na spoczynek.

Chciałbym okno otworzyć, jak się to u nas robi w Europie. Ale to znaczy tyle, co wpuścić do wnętrza śmierć w postaci tysięcy moskitów, których się tutaj więcej obawiają, niż lwów i żmij.

Jestem tak, z powodu osłabienia, przeczulony, iż razi mnie każdy szelest, męczy mnie każde pytanie.

Słońce już weszło. Usiadłem na werandzie, wyjmuję z trudem brewjarz, lecz o modlitwie niema mowy, litery skakają mi przed oczami, ręce drżą, jestem rozdrażniony, opryskliwy, chociaż staram się zapanować nad sobą.

Bracia radzą mi wcześniej rozpocząć nabożeństwo. Wysyłamy kilku chłopców z dzwonekami, którzy rozbiegłszy się po całej wsi, zwołują swych ziomków na nabożeństwo. Wkrótce mała kapliczka jest przepełniona. Tylko z największym wysiłkiem zdołałem kilka słów wypowiedzieć do zgromadzonych i dokończyć ofiary Mszy św. Potem zabrał

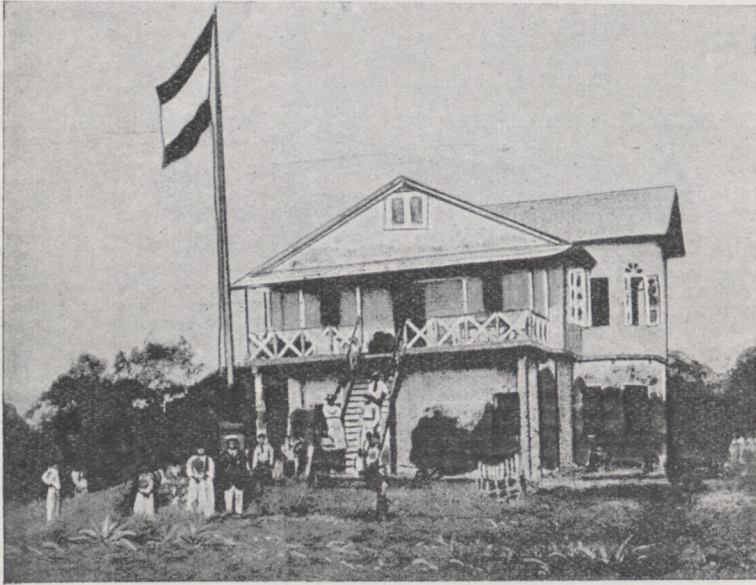
się brat Robert do szczegółowego badania mego zdrowia. Pukał, mierzył ciepłotę, kiwał głową, uśmiechał się, a w końcu zapytał:

„Czy ksiądz nie jest głodny“?

„Tak“.

„Bardzo głodny“?

„Bardzo“.



*Dom mieszkalny misjonarzy w Wielkiej Batandze.*

„Ma ksiądz apetyt“?

„Mam“.

„A cóż ksiądz życzy sobie na śniadanie“?

„To obojętnie. Zdaje mi się, że mi wszystko będzie smakowało“.

Po niedługim czasie przynoszą mi zaordynowane lekarstwa: filiżankę mocnej kawy, kilka

jaj na miękko, porcję surowej szynki, placek świąteczny i kieliszek wina.

Diagnoza brata Roberta okazała się trafna, lekarstwa skuteczne. Po spożyciu śniadania uspokoiły się nerwy, znikło osłabienie, powrócił dobry humor i sen. Gdy się obudziłem w południe, czułem się już zupełnie zdrowym.

Na drugi dzień znalazłem się w Kribi, aby połać się opłatkiem z ks. prefektem i złożyć mu życzenia.

Gdy mu opowiadałem o mej wczorajszej przygodzie, przestrzegł mnie jednak, abym nigdy nie urządził pasterek, bo w Afryce każdy nocny wysiłek mści się bardzo dotkliwie i prowadzi do grobu. Tutaj z zachodem słońca trzeba przestać myśleć, chodzić i pracować.



*Ministrant.*

## XVI.

### PRACA DUSZPASTERSKA W KRIBI.

*Przybycie drugiego kapłana. — Organizacja szkoły. — Naczelnik Ewee i jego doradcy. — Opieka nad uczniami. — Chrześcijanie kribińscy. — Człowiek bez żołądka. — Compelle intrare. — Stara sygnaturka. — Szczęśliwa myśl. — Nowa wieża.*

Ksiądz H., którego w listopadzie zastałem w Kribi, już przed Bożem Narodzeniem opuścił miejsce swej długoletniej pracy. Na początku stycznia odjechał także ks. prefekt. Zostałem tedy sam z dwoma braćmi. Wkrótce jednak otrzymałem pomocnika w osobie młodego kapłana. Powitałem go z radością. Wspólna nasza znajomość, datująca się z dawniejszych czasów, czerstwe zdrowie, przyjaźń, jaka nas łączyła, wszystko to podnosiło nas na duchu i ułatwiało pracę. A pracy było poddostatkiem.

Najpilniejszą sprawą była reorganizacja szkoły. Do tej pory wszyscy uczniowie, tak miejscowi, jak i zamiejscowi pozostawali stale w naszym internacie misyjnym. Ten sposób wychowania przedstawiał się jednak nadzwyczaj dla nas niekorzystnie, tak ze względów pedagogicznych, jak i materialnych. Pomiedzy chłopcami, nie należącymi

do tego samego szczepu, powstawały ciągle nieporozumienia i kłótnie. Chłopcy kribiańscy np. uważali się za coś lepszego od chłopców szczepu Jaunde, nie chcieli z nimi siedzieć w jednej ławce i nazywali ich pogardliwie buszmanami, t. j. ludźmi mieszkającymi w krzakach. Bójki, przezwiska, były na porządku dziennym.

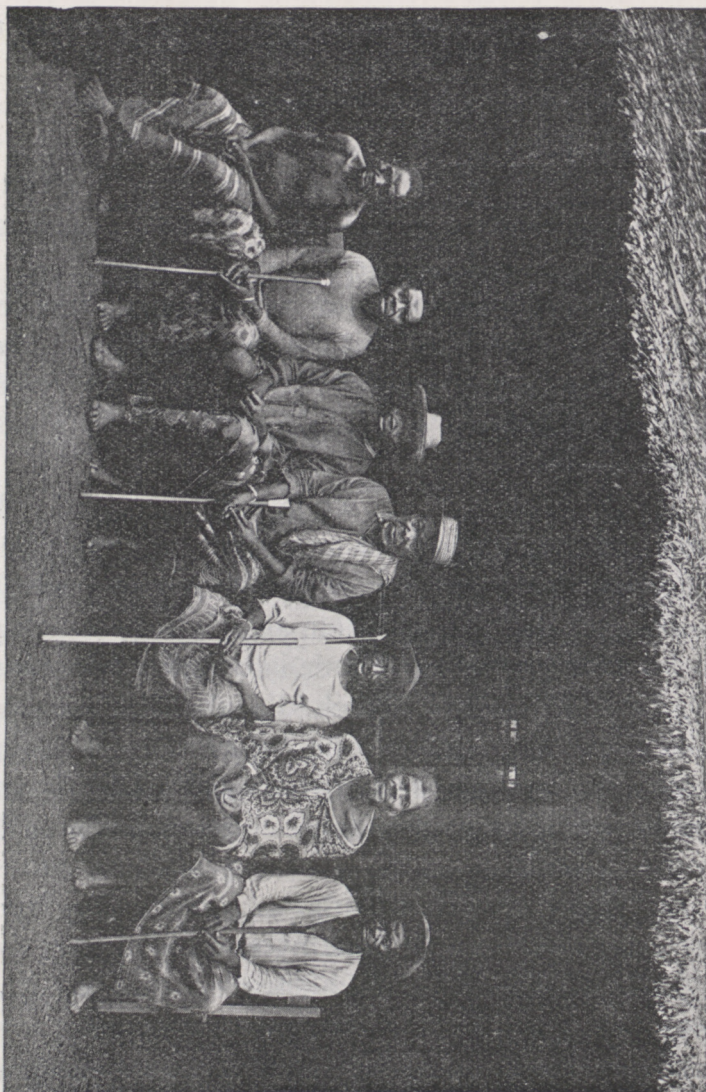
Ale, pominiawszy już te zatargi, kompletne utrzymanie wielkiej ilości uczniów, ich wyżywienie i ubranie, narażało nas na wielkie wydatki, których wysokość z reguły nie odpowiadała osiągniętym wynikom.

Gdy, nareszcie, szczep Jaunde otrzymał osobną stację misyjną, nadszedł najwyższy czas, aby znieść zupełnie internat i urządzić szkolnictwo na sposób europejski, mianowicie aby dzieci z swych domów rodzinnych przychodziły do szkoły na naukę.

Był to twardy orzech dla obywateli kribiańskich. Podobało im się wprawdzie usunięcie chłopców zamiejscowych, lecz zgoda nie przemawiała im do przekonania ciężary, jakie odtąd musieli sami ponosić.

Długo trwały układy z rodzicami. Nieraz przesiadywałem całe godziny z naczelnikiem Ewee i jego doradcami na skalistym wybrzeżu, gdzie, po raz setny, wedle obyczaju murzynów, omawialiśmy te same sprawy. W końcu jednak doszliśmy do porozumienia.

Kribianie nie chcieli się okazać gorszymi od swych ziomków w Batanga, a jeszcze więcej od sąsiadów w Buambe. Na żaden sposób nie mogli



*Ewuse i jego doradcy.*

przecież dopuścić, aby mieszkańcy prowincji przewyższali wykształceniem obywateli stolicy południowego Kamerunu.

Równy z nastaniem Wielkanocy dobiliśmy targu. Zaraz po świętach sporządziłem wykaz wszystkich uczniów i uczenic w wieku szkolnym, z naczelnikiem i z rodzicami spisałem formalny kontrakt, którym zobowiązywali się regularnie posyłać dzieci do szkoły. Znalazło się z górą 80 chłopców, a około 40 dziewcząt—liczba wcale pokaźna.

Naukę rozpoczęliśmy solennem nabożeństwem w kościele, potem odbyła się jeszcze uroczystość w szkole. Na zakończenie uczniowie otrzymali porządną porcję ryżu i kawał sztokfisu, co z pewnością więcej ich zachęciło do powzięcia dobrych postanowień, aniżeli najwznioślejsze przemówienia.

Opiekę nad uczniami roztaczaliśmy nie tylko w szkole, ale i poza szkołą. Odwiedzaliśmy ich we własnych mieszkaniach i pilnowaliśmy, aby wykonywali praktyki religijne i przykładali się do książki. W tym celu dawaliśmy im obrazki świętych, krzyżyki, aby je zawieszali na ścianach i przed nimi się modlili. Regularnie co tydzień musieli składać sprawozdanie ze swych czynności: kiedy wstawali ze snu, czy odmawiali pacierze, czy się żegnali przed jedzeniem i t. d.

Jakkolwiek w początkach nie wszędzie znajdowaliśmy idealne stosunki, to jednak na ogół już po kilku miesiącach mogliśmy stwierdzić, iż zlikwidowanie internatu nie tylko nie obniżyło wydajności naszej pracy, ale przeciwnie, przyczyniło się do podniesienia uczuć chrześcijań-



*Czarny nauczyciel i jego uczniowie.*

skich w całej wiosce. Widok modlących się chłopców zachęcał i starszych domowników, choćby nawet pogan, do praktycznego życia z wiary.



Zwykle jeden dzień w tygodniu wszyscy uczniowie pracowali w ogrodzie misyjnym, aby w ten sposób wyrównać należytość za szkolne przybory, które od nas otrzymywali. Miało to tę dobrą stronę, iż rzecz nabytą własnym trudem więcej cenili i szanowali.

Po dzieciach przyszła kolej na dorosłych. Był to o wiele trudniejszy materiał, bo znajdowało się między nimi wielu oziębłych i nie praktykujących. Musieliśmy nieraz występować bardzo energicznie, aby obudzić ich sumienie i pozyskać ich dla Kościoła.

Najtrudniejsza sprawa była z tymi, co żyli w nielegalnych związkach małżeńskich. Jeden posiadał kilka żon, drugi, w miejscu połowicy, która mu uciekła, wziął sobie inną i żył z nią na wiarę, tamten znowu nie myślał zawrzeć katolickiego małżeństwa. Wobec gadatliwości murzynów, wypadki takie wymagały zwykle bardzo wiele zachodu i czasu.

Powoli jednak, z lepszym poznaniem powierzonych mi owieczek, nabyłem wprawy w załatwianiu takich rzeczy. Murzyna trzeba znać, trzeba mu dać czas, aby się należycie wygadał, aby na oścież otworzył swe serce, a po wysłuchaniu, należy mu jasno i stanowczo rozkazać, co ma uczynić.

Nieraz zdarzały się przytem rzeczy zabawne:

Pewnemu staremu obywatelowi, który również nie był wzorem małżonka, oświadczyłem, że już czas, aby pomyślał o chrzcie świętym, bo

przecież i jego, podobnie jak innych, Pan Bóg przeznaczył do nieba.

„Ja nie wierzę ani w Boga, ani w niebo, bo nie widziałem ani jednego, ani drugiego“.

„A widziałeś swój żołądek?“

Odpowiedział „nie“.

„A przecież wierzysz, że masz żołądek?“.

Temu nie mógł już zaprzeczyć, bo u murzyna żołądek jest najważniejszą rzeczą.

Od tego czasu wszyscy go nazywali człowiekiem, który nie widział swego żołądka.

Ale i on przyjął w końcu chrzest i został dobrym katolikiem.

Względem leniuchów, co to wolą spać, aniżeli pójść w niedzielę na Mszę św., używaliśmy sposobu, o którym wspomina Ewangelja: „compelle intrare“ — zmusz do wejścia.

Posyłałiśmy do nich najlepszych chłopaków, którzy dotąd ich namawiali i prosili, dopóki nie przyszli do kościoła i nie pojednali się z Bogiem. To „compelle intrare“ przydałoby się i u nas, a ręczę iż w wielu wypadkach dałoby świetne wyniki.

Po kilku miesiącach takiej pracy, spostrzeżliśmy ku naszej radości, zwrot ku lepszemu na całej linii. Powoli coraz więcej zapełniał się kościółek, coraz większa liczba przystępowała do Stołu Pańskiego, nie raz na rok, ale codziennie, co tydzień, a już w najgorszym razie co miesiąc.

Gdy tak stosunki religijne układały się coraz pomyślniej, trapiła mię ciągle jedna jeszcze



*Po nabożeństwie niedzielnym w Kribi*

troska mianowicie opłakany wygląd naszego kościoła. Szczególnie raziła mię sygnaturka, osadzona w najniewłaściwszem miejscu na rogu frontonu. Była to prosta, zbita z desek skrzynia, która miała zastąpić wieżę. Ile razy spojrziałem na tę paczkę, odczuwałem wyrzuty sumienia, że coś podobnego znajduje się na domu Bożym.

Aż tu, razu pewnego przyszedł mi z pomocą stary przyjaciel stacji misyjnej—wicher. Przyszedł skądś od południowego wschodu z taką mocą, iż po półgodzinnej sumiennej pracy, wyrwał obrzydliwą skrzynkę z wiązania dachowego, rzucił ją na kamienne schody i roztrzaskał w drobne kawałki.

Oczywiście teraz już musiałem przystąpić bo budowy prawdziwej wieży, bo umieścić znowu takie same pudło, byłoby, rzeczą wprost nierozumną. — Ale jak tego dokonać? Pieniądzy nie miałem, nie miał ich też ks. prefekt. Przyszła mi szczęśliwa myśl, aby się odnieść do mych znajomych i przyjaciół, których pozostawiłem w kraju.

Patron kościoła, św. Józef, sprawił, iż dokąd tylko zapukałem, nigdzie nie spotkałem się z odmową. W niedługim czasie zamówiłem w Europie, w warsztatach ciesielskich naszego Stowarzyszenia, piękną wieżę, wedle projektu brata Jana. W kilka miesięcy później przywiózł mi parowiec zupełnie wykończone części składowe—do nas należało tylko zmontować je należycie.

Co to była za radość, gdy wieża powoli

wznosiła się z fundamentów. Obywatelom kri-biańskim rosło serce, a co było dla mnie wielką pociechą: razem z wieżą rosła też i wiara. Gdybym to był znał ten sekret wcześniej, byłbym już zaraz, w styczniu, zamówił wieżę — i nie potrzebowałbym tak długo mozolić się nad nawracaniem mych czarnych parafjan.

Jeżeli raz jeszcze dostanie się mi taka stacja misyjna, to pozwolę chłopcom biegać i skakać tyle, ile zechcą, nie będę też tak bardzo się kłopotał o niewzorowych małżonków, tylko pobuduję wieżę.

## XVII.

### NOWE SZKOŁY.

*Pora deszczowa. — Osada angielska. — Niemiła niespodzianka. — Wygodny nocleg. — Złośliwe komary. — Nabożeństwo wśród opłakanych warunków. — Polak ma inną krew. — Dwie nowe szkoły. — Ustawiczny ruch. — Jego skutki.*

Pora deszczowa rozpoczyna się w podzwrotnikowej Afryce w lipcu, a kończy się w połowie, albo w końcu września.

Przez cały ten czas padają deszcze bez ustanku. W nocy wprost szaleje ulewa, przy silnym wietrze i przy akompaniamencie grzmotów i piorunów. W powietrzu unoszą się chmury złośliwych moskitów, bąków i różnych muszek gryzących. Pod wpływem gorących promieni słońca tworzą się mgły, aby znowu wylać z siebie całe strugi wody. Wilgoć jest tak wielka, iż skórzane obuwie w przeciągu dnia pokrywa się pleśnią.

Rozmiękłe drogi i wezbrane rzeki unie możliwiają wszelką komunikację. Małeńki potoczek wzrasta w porze deszczowej do wielkości potężnego strumienia.

Oczywiście w takich warunkach o jakiegokolwiek wycieczce misyjnej niema nawet mowy.

Dopiero w październiku możemy znowu puścić się w drogę. Tym razem udamy się w stronę północną od Kribi. Celem naszej podróży będzie miejscowość Plantation—z murzyńska Nkonde.

Wspomniałem o niej już w poprzednich rozdziałach. Plantation, jak sama nazwa wskazuje, była pierwotnie osadą angielską. Swego czasu Anglicy zamierzali założyć tutaj główny port, atoli, z objęciem Kamerunu przez Niemców, projekt ten upadł. Pozostała tylko po nim poważna liczba firm handlowych. Na przestrzeni jednego kilometra rozciągają się obszerne faktorie z sklepami i spichlerzami, należące do Anglików, Niemców, Amerykanów i Szwedów.

Handel i dzisiaj jeszcze dość ożywiony z szczepami z głębi lądu, które dostarczają kaurczuku, kości słoniowej i innych skarbów afrykańskiej ziemi.

Liczba czarnej ludności w Plantation dochodzi do tysiąca. Kontakt z pogańskimi karawanami i zły przykład białych i tutaj bardzo ujemnie wpływa na murzynów pod względem moralnym, a największym nieszczęściem jest dla nich wódka, którą, niestety, sprzedają w każdym sklepie. Czarny, gdy raz zasmakował w wódce, już nigdy dobrym człowiekiem nie będzie.

Jako „stary Afrykanin“ wyruszam z dwoma tylko chłopcami w drogę. I teraz idziemy brze-

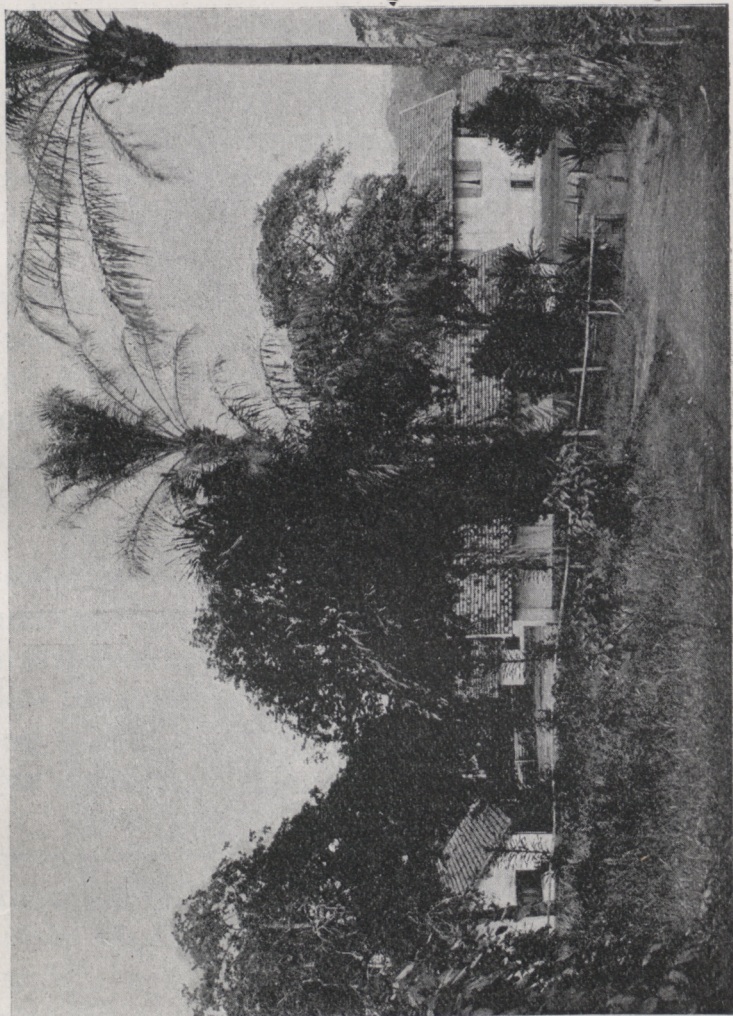
giem morza, ale już nie tak wygodnie jak do Buambe. Spotykamy ciągle to płytkie rozlewy wody morskiej, to skały, które trzeba ciągle obchodzić. Marsz trwa dobre cztery godziny.



Wybierając się w podróż, obiecywałem sobie przenocować wygodnie w szkole i tam na jutro odprawić nabożeństwo. Tymczasem spotkała mnie pod tym względem wcale niemiła niespodzianka. Nie przyszło mi na myśl, iż



w Afryce pora deszczowa przyprowadza mniej  
solidnie wykończone budynki prawie do ruiny.



*Freetown.*

Oto już jestem u celu podróży, a szkoły  
jakoś nie mogę dojrzeć.

Przedarłszy się przez gęste zarośla i wysoką

trawę, stoję przed jakąś piramidą krzaków. Mówią mi, że to szkoła. Dom literalnie tak zarosnięty zielskiem, że dachu prawie nie widać. Wokoło wilgoć i błoto.

Drogę do drzwi torujemy sobie kotlesem. Każę je otworzyć. Po ich otwarciu buchnęło na mnie z wnętrza ciężkie, parne powietrze, z szpar betonowej, niby wodą zlanej, podłogi wyrasta tu i ówdzie bujna trawa.

Myślę sobie: „I ja tutaj mam nocować? A to dopiero historia—będę ja tu miał wygodny nocleg“! Ale trudno—trzeba sobie jakoś radzić. Zabieramy się więc do uporządkowania budynku: Najprzód wycięli chłopcy zielsko około domu, poczem, oczyściwszy całe mieszkanie, rozniecili w sali szkolnej suty ogień.

Pokój, przeznaczony dla nauczyciela, obrałem na sypialnię i umeblowałem po swojemu. Z dwóch, zestawionych razem ławek, urządziłem sobie łóżko, większa waliza zastąpiła mi stół, a mniejsza krzesło. Oto i wszystko. Chłopcy pozostali w klasie, gdzie ogień płonął całą noc, aby bodaj w części usunąć Moskity i robactwo.

Zmęczony udałem się wcześniej na spoczynek i, jak zwykle, zasnąłem twardo, a tymczasem złośliwe komary, korzystając z sposobności, dziurawiły mi skórę i piły moją krew do woli. Przebudziwszy się z rana, jakże wyglądałem żałośnie. Twarz miałem opuchniętą, pełną czerwonych bąbli, tak samo ręce i nogi, o ile nie były nakryte kocem.

Jakże ja teraz przystąpię do ołtarza? Idąc za

radą chłopców, stosowałem naprzemian to zimne, to ciepłe okłady. To poskutkowało o tyle, że mo-



*Wioska murzyniska.*

głem się już o dziesiątej pokazać ludziom i rozpocząć nabożeństwo.

Czarnych zebrała się moc—chrześcijan i pogan. Odmówiłem najprzód z nimi zwykle modlitwy, potem odprawiłem sumę, a na końcu zachęcałem wszystkich gorąco do życia według wiary i przykazań Bożych.

Jeszcze nigdy nie sprawowałem swych duszpasterskich czynności w tak opłakanych warunkach jak teraz w Plantation. Proszę sobie wyobrazić szczupłą izbę szkolną, cuchnącą dymem, wypełnioną po brzegi murzynami—powietrze tak ciężkie, że, jak to mówią, można było w niem siekierę zawiesić, ołtarz zbity naprędce z desek, brak najwykleszych sprzętów i ozdób, jakich bądź co bądź wymaga wielkość ofiary Mszy św...

Doprawdy, serce krajało mi się na widok tego ubóstwa. Ale Pan Bóg dopomógł. Zrobiony początek rokował jaknajlepsze nadzieje.

Za szczególniejszą łaskę Bożą uważam, iż od czasu mego przybycia do Kamerunu, nie chorowałem poważniej tak, abym był zmuszony kłaść się do łóżka. Moi współbracia posądzają mnie o posiadanie innych nerwów i innej krwi. Twierdzą, iż, jako Polak, potrafię więcej znieść, niż rozpieszczeni mieszkańcy zachodniej Europy. Może to i prawda. Ta odporność mego organizmu zrodziła we mnie pewną lekkomyślność: w Kribi, naprzykład, kazałem usunąć z mego łóżka siatkę, a gdy jestem w podróży, zupełnie nie zważam na niebezpieczeństwo, jakim mi grożą moskity. Tutaj jednak, w Plantation, oporządziły mnie zbyt gruntownie. To też postanawiam sobie większą na

przyszłość kierować się roztropnością, aby przypadkiem nie przyszło naprawdę do katastrofy.

Organizacja szkoły w Plantation zabrała mi wiele czasu. Niemal 3 miesiące musiałem na to poświęcić. Nie obeszło się też bez pomocy mego wiernego towarzysza — brata Jana. I tam potrzebna była gruntowna restauracja budynku. Poza to wszystkie sprzęty szkolne, jak ławki, tablice, szafy, wymagały naprawy. Urządził także braciszek absydę w sali szkolnej, gdzie umieścić ołtarz zamknięty drzwiami, które otwierano na czas nabożeństwa.

Nieco później powołałem do życia jeszcze czwartą szkołę w Bebandoe, wiosce położonej o półtora mili na wschód od Plantation. Tam już murzyni musieli sobie sami radzić: na pięknie położonym wzgórzu blisko morza wystawili według naszych wskazówek obszerny dom, raczej chatę z materiału, jakiego czarni używają do budowy swych pomieszczeń. Takie chaty nie przedstawiają się wprawdzie pięknie dla oka, ale są zato chłodniejsze i o wiele tańsze, niż domy budowane na sposób europejski.

Tak więc uzyskaliśmy kilka filij, które rozszerzyły zakres naszej działalności. Liczba uczniów z końcem roku doszła do trzystu.

Kierownictwo szkół, mianowicie dozоровanie nauczycieli, obznajamianie ich z należytą metodą nauczania, przysparzało nam niemało pracy. Z tej przyczyny musiałem być dwa, a nieraz i trzy tygodnie w miesiącu w drodze.

*Budowa szkoły.*

Ten ustawiczny ruch wychodził mi jednak na zdrowie. Pot wyciskał ze mnie bakcyle, budził apetyt, a co ciekawsze, zwiększał wagę ciała. Z 135 funtów, jakie wywozłem z Europy, posu-

nałem się do 150 funtów, nie wliczając w to brody, która rozwijała się coraz pomyślniej.

Gdy zostałem księdzem, matka moja zawsze mnie przestrzegała przed zbytniem zwiększaniem powłoki cielesnej. Coby teraz powiedziała na mój widok?

Widocznie schodzę na bezdroża!

## XVIII.

### MOJA PIERWSZA FEBRA.

*Konsultacja. — Lekki br. Jana. — Pusty żołądek. — Prozaiczny koniec.*

Pewnego listopadowego poranka uczułem silne dreszcze. Byłem tak osłabiony, że tylko z wielką trudnością zawlokłem się do kościoła. Ale po Mszy św. musiałem położyć się zaraz do łóżka. Nogi odmawiały mi posłuszeństwa, głowa ciążyła w wielkim bólu, światło dzienne raziło oczy.

Nareszcie i na mnie przychodzi kolej — pomyślałem sobie. To Afryka upomina mię pierwszym atakiem febry.

Chociaż cierpiałem mocno, to jednak tę bolesną wizytę powitałem z pewnem zadowoleniem — teraz wypocznę nieco, porobię sobie notatki z przeżyć kameruńskich, przeczytam gazety itd. — Ale i współbracia nie przejmowali się zbytmo moją słabością. Owszem, czytałem w ich oczach coś jakby radość, iż i ja, co dotąd imponowałem wytrwałością, stanąłem na tym samym co oni poziomie.

Ciepłota wynosiła 39°.



Mój stary towarzysz br. Jan przyniósł mi wielki dzban gorącej herbaty, kilka cytryn, chininę, i z powagą wytrawnego lekarza przykazał mi przez cały tydzień leżeć w łóżku, aby się dobrze wypocić i wraz z potem pozbyć się wszystkich zarazków nagromadzonych w krwi przez przeciąg całego roku. Poczem pocieszył mię jak niegdyś br. Wojciech w Duala zapewniając iż wkrótce przyjdę do zdrowia.

Zabrałem się do spożycia przyniesionych mi leków: połknąłem kilka pigułek chininy, zjadłem cytrynę i piłem jedną filiżankę herbaty za drugą, aż wypróżniłem niemal dzban cały.

Braciszek jeszcze raz zbadał puls i, zmierzwszy ciepłość, znalazł  $39,5^{\circ}$ .

Po tej pierwszej konsultacji i zażyciu lekarstw, pot wystąpił tak obficie, że musiałem zmienić pościel i bieliznę. Mimoto gorączka podnosiła się gwałtownie i doszła do  $40^{\circ}$ . Był to więc stan wcale groźny.

Niebawem zjawił się drugi dzban herbaty z cytrynami, ale już bez chininy. Znowu wystąpiły obfite poty. Znowu zmieniłem bieliznę i tak po kilka razy. Nakoniec przyrządzono mi gorącą kąpiel, po której zupełnie wyczerpany zasnąłem twardo.

Gdy się obudziłem, br. Jan zamierzał raz jeszcze zaaplikować mi tę samą kurację, ale ja już oparłem się temu stanowczo. Natomiast zażądałem wielkim głosem lekarstwa, które mi swego czasu przepisał br. Robert w Wielkiej

Batandze, a które zawsze przechowywałem w miłej pamięci.

Życzeniu memu uczyniono skwapliwie zadość.

Skutek przeszedł najśmielsze oczekiwania. Po 2 godzinach wstałem, gorączka spadła do 38°. Powtórzyłem więc znowu receptę br. Roberta i oto wieczorem siedziałem na werandzie w towarzystwie współbraci z 37,5° ciepłotą, która się w Afryce uważa za normalną.

Tak prozaicznie skończyła się moja pierwsza febra. Następnego dnia pełniłem już jak zwykle swoje obowiązki. Jestem bodaj pierwszym białym w Kribi, który przeżył cały jeden rok bez febry.

Ale może ten rok nie był rokiem moskitowym, wszak i w Polsce nie w każdym roku zjawiają się chrabąszcze.

## XIX.

### WYCIECZKI MISYJNE.

*U naczelnika wioski. — Katechizacja. — Kłopoty z małżonkami. — Wspólna Komunja św. — Pożegnanie misjonarza. — W głąb kraju. — Ofiary i nadzieje.*

Do stacji misyjnej Kribi należało pierwotnie całe побереże Kamerunu, począwszy od ujścia rzeki Sanagi aż do miejscowości Kampo, gdzie rozpoczynała się granica kolonji hiszpańskiej. Później dopiero część побереża położoną na południe od Kribi, przydzielono do stacji w Wielkiej Batandze.

Z powodu rozległości terenu musieliśmy podejmować częste i dalekie wycieczki misyjne. Wybierając się właśnie w drogę na cały tydzień, zapraszam cię, łaskawy czytelniku, abyś mi towarzyszył. Znowu idę brzegiem morza, które i dzisiaj zachwyca mnie swą starą, a zawsze nową pięknnością. Z dalekich przestrzeni oceanu biegną fale i z szumem rozbijają się pianą u mych stóp, jakby mnie zapraszały do wzięcia udziału w swojej odwiecznej wędrówce.

Wygodnie maszeruje się po miękkich piaskach, lecz muszę przyspieszać kroku, bo nie-

zadługo, z przyływem morza, podniosą się wody tak wysoko, iż zaleją cały brzeg i wpędzą mnie na bagniste bezdroża.

Zatrzymujemy się w wiosce o 5 mil oddalonej na południe od Kribi. Po krótkim odpoczynku wkładam na siebie sutannę i kieruję się ku domostwu naczelnika.

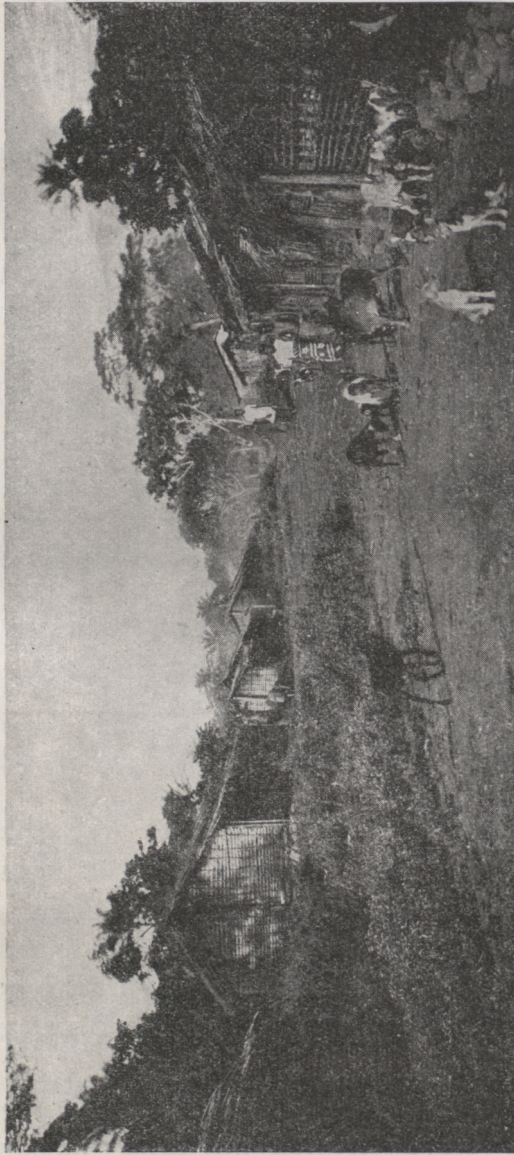
Znam go już oddawna. Witamy się i wymieniamy podarunki. Ja ofiaruję mu tytuń, sól i nieco ryb, a wzamian otrzymuję banany, jaja, albo — co uchodzi za oznakę szczególnej życzliwości — koguta. Potem gawędzimy po przyjacielsku do późnego wieczora.

Murzyni wybierają zazwyczaj na naczelników ludzi starszych, którzy roztropnością i mądrością zdobyli sobie wśród nich poważanie, to też rozmowa z nimi jest wcale zajmująca. Lubiłem przysłuchiwać się ich rozprawom o Bogu, o śmierci i sądzie. Wiedzą dobrze, że Bóg jest sprawiedliwy, a gdy ich sumienie niepokoi, szukają pociechy u misjonarza.

„Ojcze“, mówił jeden z nich do mnie, „ty wiesz, że mam więcej kobiet, że dużo nabroiłem w życiu — proszę cię, ochrzczij mię przed śmiercią, bo chciałbym być w niebie“.

Mój przyjaciel, u którego bawię, okazuje też wiele rozsądku. Na odchodnym zapraszam go na nabożeństwo i jestem przekonany, iż zjawi się napewno.

Jest to pierwsza — powiedzmy dyplomatyczna część apostołskiej czynności. Przez nią zjedny-



*Osada murzyńska.*

wa sobie misjonarz naczelnika, a nadto ujmuje sobie murzynów, którym bądź co bądź podchlebia szacunek okazany ich przedstawicielowi przez wielkiego minissa.

Część druga polega na właściwej pracy duszpasterskiej. Zwykle wieczorem, tego samego dnia, gdy już wszyscy mieszkańcy znajdują się w chatach, przebiega kilku chłopców, z dzwonkiem w ręku, całą osadę i najbliższą okolicę, ogłaszając przybycie misjonarza, oraz czas i miejsce nabożeństwa, które, w braku odpowiedniego lokalu odbywa się zazwyczaj pod osłoną cienistego drzewa. Po Mszy św. zasiadam na skrzyni, a około mnie gromadzą się słuchacze. Przedmiotem katechizacji są główne prawdy wiary, przedstawione w sposób najbardziej przystępny. Proste i szczerze słowa wywierają głębokie wrażenie na tych biednych ludzi, pozbawionych wszelkiej pociechy duchowej. Po takich naukach zgłasza się zwykle wielu z prośbą o chrzest św.

W początkach nikomu nie odmawiano tej łaski. Później jednak okazało się, iż taka praktyka w wielu wypadkach ujemne dawała wyniki, postanowiono więc udzielać Chrztu św. dopiero po trzech latach próby, gdy katechumen dał dowód stałości w wierze i prawdziwej zmiany życia i obyczajów.

Po katechizacji pogan przystępuję do nauki wiernych. Każdy z nich po kolei musi się wykazać znajomością najważniejszych modlitw, zna-

jomością aktów wiary, nadziei i miłości, 10 przykazań Boskich, 5 kościelnych, 6 prawd i t. d., w przeciwnym razie uczy się dotąd, dopóki egzamin nie wypadnie pomyślnie. Jest to praca żmudna, lecz konieczna, bo tu chodzi przecież o wpojenie zasadniczych prawd wiary.

Dopiero teraz mogę rozpocząć przygotowanie do spowiedzi i do Komunii św. Odnowienie w pamięci tego co zapomnieli i należyte pouczenie o warunkach dobrego przyjęcia św. Sakramentów, wymaga zazwyczaj kilkudniowych wysiłków.

Najwięcej trudności przedstawia trzecia część apostołstwa. Chodzi tu przede wszystkim o naprawę nielegalnych związków małżeńskich, bez której godne przystąpienie do spowiedzi byłoby niemożliwe.

Trzeba mieć przytem dużo cierpliwości, jak to już w innym miejscu wspominałem. Jeśli obydwie strony okazują dobrą wolę, zaraz odbywa się ślub i wesele. Zdarza się jednak, iż wszelkie starania podjęte w tym kierunku, pozostają bez skutku.

Pewien młody człowiek żył z kobietą pogańką, która pierwotnie zgodziła się na zawarcie ślubu kościelnego przy najbliższej sposobności.

Gdy atoli nadeszła chwila stanowcza, cofnęła się, oświadczając, iż będzie z nim żyła przez kilka lat na próbę, nie związana przysięgą, aby się przekonać o jego charakterze. Rzekomy mąż prosił i groził. I ja przedstawiałem niedorzecz-

ność takiego postanowienia, ale napróżno. Cóż ten biedny pseudo — małżonek miał uczynić? Jeśli odeśle upartą niewiastę, — straci cały posąg, jaki złożył jej ojcu, jeśli weźmie inną, to jeszcze gorzej, bo uiszczenie ponownej zapłaty za drugą kobietę przyprowadziłoby go do ostatniej nędzy.

I tak źle i tak niedobrze.

Dopiero po wygładzeniu i rozwiązaniu tych nieraz nader trudnych i przykrych wypadków następuje nareszcie finał — mianowicie spowiedź i Komunia św.

Spowiedź ludzi tak pierwotnych, jak murzyni, jest nader uciążliwa, lecz przynosi spowiednikowi wiele pociechy i zbudowania. Zawsze odnosiłem się z wielką miłością i z szacunkiem dla tych biednych ludzi, co z taką szczerością przyznają się do winy i rzewnie przepraszają Boga.

Komunję św. urządzamy zazwyczaj w niedzielę, a to dlatego, aby wszyscy bez żadnych przeszkód, mogli wspólnie przystąpić do Stołu Pańskiego w czasie Mszy św., odprawianej z możliwie największą uroczystością.

W tym celu ustawia się na publicznym placu, zwykle pod rozłożystem drzewem prosty, prowizoryczny ołtarz, jaśniejący rześystem światłem, przybrany w zieleń i kwiaty, tak że mimo ubóstwa, całość przedstawia się wcale dodatnio.

Jeden z czarnych czyta modlitwy przed i po Komunii św. w języku rodzinnym, a za nim powtarzają je głośno obecni. Poczem śpiewają ulu-





*Przed chatą naczelnika.*

bione pieśni, szczególnie do Matki Najświętszej, którą otaczają gorącą czcią i miłością. Na końcu jeszcze raz do nich przemawiam, udzielam im błogosławieństwa i polecam ich ojcowskiej opiece Boskiego Pasterza.

Dzieje apostołskie opisują nam rzewną scenę rozstania się św. Pawła z młodą gminą chrześcijańską w Milecie, kiedy udawał się do Jerozolimy: Z płaczem odprowadzali go wierni aż do okrętu, rzucali mu się na szyję i całowali go, a św. Paweł, przewidując niebezpieczeństwa, jakie w przyszłości groziły jego najmilszym dzieciom, którym stał się ojcem przez ewangelję w Jezusie Chrystusie, modli się za nich i upomina, aby nie dali się uwieść ludziom przewrotnym.

Coś podobnego dzieje się na misjach. I w Afryce są wierni, którzy pod czarną powłoką ciała, posiadają serce, pełne wdzięczności, którym trudno powstrzymać łzy cisnące się do oczów, gdy im przychodzi się rozstawać z misjonarzem.

I mnie też najmilsze dzieci odprowadzają daleko aż poza granice swojej osady. Z sercem ściśnionem słucham ich zwierzeń, ich próśb, którym zadość uczynić nie mogę: proszą o szkołę, proszą o kaplicę, proszą o księdza.

Ciężkie mnie nieraz myśli trapiły w takich chwilach, [a opuszczały mnie dopiero, gdy moi czarni towarzysze powrócili do domów i gdy miałem już wioskę daleko poza sobą.

Im dalej idę w głąb kraju, tem droga trud-



*Przez las dziewiczy.*

niejsza. Najpoważniejszą przeszkodę stanowią rzeki, których nieraz ani wbród ani na plecach murzynów przebyć nie można.

Niedawno temu przeprowaiałem się przez bystry i głębokiy strumień w ten sposób, iż skakałem po oślizłych kamieniach, które widać było tuż pod powierzchnią wody. Jeden fałszywy krok, a byłbym się porządnie wykapał.

Innym znowu razem stanąłem wieczorem nad rzeką, której nawet murzyni nie odważyli się przepłynąć. Już byłem zdecydowany przepędzić noc pod gołym niebem, gdy naczelnik pobliskiej wioski, dowiedziawszy się o mem przybyciu, przyszedł mi z pomocą i przysłał małą łódeczkę, używaną zazwyczaj przez tubylców przy łowieniu ryb.

Nie mając wyboru, wstąpiłem w tę łupinę, chwiejącą się na wszystkie strony i grożącą co chwila wywróceniem.

Murzyni, podtrzymujący łódkę, dodawali mi odwagi i, dopiero przy ich pomocy, przedostałem się szczęśliwie na drugą stronę.

Tęgo rodzaju wycieczki już niejednemu kapłanowi podkopały zdrowie i stały się przyczyną jego przedwczesnej śmierci.

Gorliwy ks. Otto, o którym już wspomniałem, powracał pewnego razu morzem do domu. Fale jednak uniosły łódź daleko od brzegu, a on przez całą noc i cały dzień błakał się bez żywności po wodach. Dostawszy się na ląd, musiał jeszcze iść kilka godzin pieszo do Kribi. Od tego czasu zaczął chorować. Przeniesiono go najpierw do szpitala, a stąd, zupełnie złamany, odjechał do Europy po to, aby wkrótce zakończyć młode życie.

Podobnie stało się z Ks. B. Zdążając również morską drogą do Kribi, gdy łódź, z powodu burzy, nie mogła przybić do brzegu, wskoczył do



*Przeprawa przez rzekę.*

wody i dopiero, przy pomocy czarnych, ledwo się wyratował. Odtąd zaniemógł, a w kilka miesięcy później zmarł nagle na udar serca.

Bogu tylko wiadomo, ile sił i zdrowia wkładają misjonarze w swe obowiązki. Ale, gdy prawdą jest, że słowo Boże tam zapuszcza głębokie korzenie, gdzie rolę serc ludzkich obficie użyżniła ofiarna praca apostolska, to z pewnością dla kameruńskich krajów nadejdą bogate w plon żniwa.

Obyśmy jaknajprędzej doczekali się tych czasów!

## MIĘDZY NIEBEM, ZIEMIĄ I MORZEM.

*Księga przyrody. — Filozof Heraklit. — Pielgrzymi jesteśmy. — Ignoramus et ignorabimus. — W pogoni za szczęściem. — Pantà rhei.*

Bywało, iż znalazłszy się gdzieś w zapadłej wiosce murzyńskiej, wychodziłem wieczorem po ukończonej pracy nad morze i błodziłem okiem po rozległych przestrzeniach nieba, ziemi i oceanu. Sam na sam w zaciszu wśród skał nadbrzeżnych lubiałem zatapiać się w tajemnice wielkości Majestatu Bożego tak potężnie objawiającego się w przyrodzie tropikalnej.

Zechciej drogi czytelniku usiąść obok mnie, bo dobrze wyjść od czasu do czasu poza koło codziennych myśli i wpatrzeć się w otwartą księgę przyrody, skreśloną ręką samego Boga.

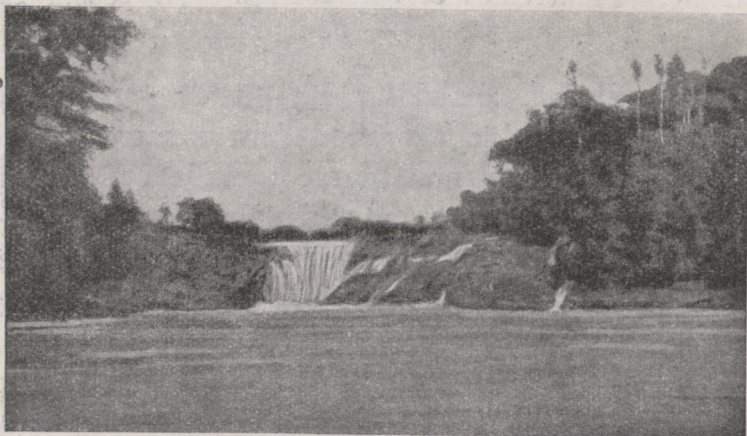
\* \* \*

Bez wytchnienia idą fale za falami, jakby miały wypełnić poruczony im rozkaz. W pewnych chwilach zwalniają tempo biegu, a wtedy silniejszy podmuch wiatru zmusza je do pośpiechu. Podobnie nielitościwy dozorca groźbą lub biczem nakłania znużonych fizycznym wysiłkiem

niewolników do podjęcia na nowo przerwanej krótkim wypoczynkiem pracy.

Tam, wysoko na firmamencie posuwają się leniwo postrzępione obłoki, a ponad nimi jeszcze wyżej księżyc niby pasterz, co usiadłszy na wzgórzu pilnie zważa na owce, aby się trzymały stada.

Wszystko bieży—panta rhei. Na tem zdaniu oparł już grecki filozof Heraklit swoją naukę. Tak jest — wszystko płynie.



*Między niebem, ziemią i morzem.*

Płynie każdy z nas przez swe dzieciństwo, przez lata chłopięce, przez męską dojrzałość, poprzez starość swą aż do ostatecznego kresu niniejszego żywota, do śmierci. Płyną pokolenia, płyną narody poprzez długie nieraz wieki historii, aby ostatecznie, po spełnieniu swego zadania, zatonać w mgłach zapomnienia. Jak te fale i chmury i my nie mamy tu stałego miejsca, nie posiadamy, czegobyśmy nie byli zmuszeni



opuścić. Nietylko koczownicze plemiona, nietylko szczepy murzyńskie zmieniają swe siedziby, ale i każdy z nas przenosi się z miejsca na miejsce w poszukiwaniu zabezpieczenia sobie doczesnego bytu. Któż może powiedzieć: — Oto dom mój, oto moje włości. Zaiste żywot nasz, jako żywot Ahasvera, wiecznego żyda tułacza.

Pielgrzymi jesteśmy, a co smutniejsza, pielgrzymi ślepi.

Zakres naszej wiedzy jest tak szczupły, że nie znamy dokładnie nawet tej przyrody, z którą codziennie obcujemy. Zdołaliśmy cośkolwiek uchylić rąbka jej szaty, atoli jej wnętrze, jej istota jest dla nas prawie obca.

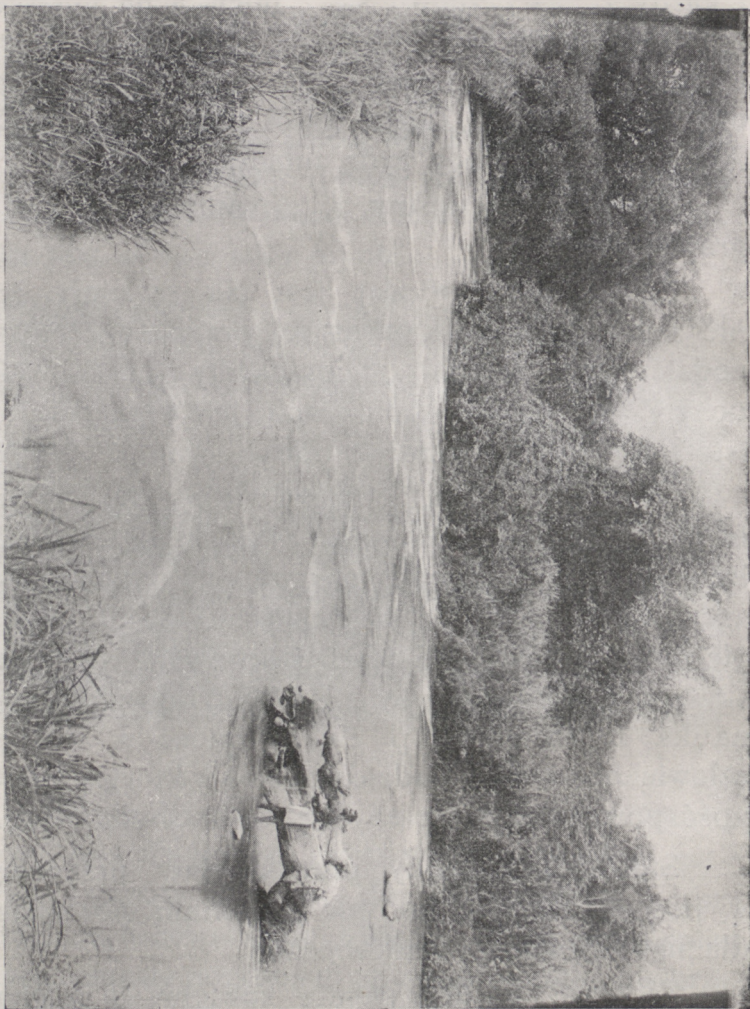
Dlaczegoż to ten kwiat, ma właśnie taką, a nie inną formę, jakie czynniki złożyły się na jego barwę, dlaczego owoce różnych roślin posiadają smak różny, chociaż czerpią soki z tej samej gleby, chociaż jedno im przyświeca słońce i jedne skrapiają deszcze? Tysiąc lat było potrzeba, aby nauka zaprzęła n. p. elektryczność w służbę człowieka, a kiedyż nadejdzie dzień w którym ludzkość pozna wszystkie siły natury? Chyba nigdy.

Starożytne narody przedstawiały przyrodę w postaci sfinksa, bo tak jak sfinks pozostaje dla nas tajemniczą i niezbadaną.

Związani ściśle z ziemią zwiemy ją matką naszą.

Czy słusznie? Czy ona rzeczywiście obchodzi się z nami jak ze swemi dziećmi?

Z trudem zdobywamy na niej utrzymanie życia, łzami i potem znaczymy każdy krok na-



*Pod wspaniałą powłoką ukrywa się tysiące niebezpieczeństw.*

szego istnienia, niejako gwałtem wydzieramy z jej rąk chwilę przelotnego szczęścia, a co nam sama dobrowolnie daje, zaprawia goryczą.

O jakże pięknie przedstawiają się afrykańskie kraje! Bujna roślinność, wieczna wiosna, rybne rzeki, lasy pełne zwierza, góry zasobne w szlachetny kruszec, ale cóż kiedy pod tą wspaiałą powłoką ukrywa się tysiące niebezpieczeństw, czai się śmierć. Niosące zarazki febry moskity, jadowite węże, śmiertelnie trujące rośliny, szkodliwa woda, żarłoczność drapieżców, a nadewszystko słońce palące bez wytchnienia — wszystko występuje do walki z człowiekiem, nuży go i czyha na jego życie.

Podobnie do tych obłoków, snujących się po niebie, podlegamy ustawicznemu zmianom.

Niestale są nasze upodobania, nasze postanowienia i przekonania.

Po kilku dniach, co ja mówię, po kilku godzinach potępiamy, cośmy pierwotnie uważali za dobre. Idziemy drogą życia jakby z zawiązanymi oczami, niepewni, czy osiągniemy, cośmy najdokładniej obmyśleli. Ileż to systemów naukowych, wypracowanych przez mędrców z nakładem ogromnych wysiłków umysłowych, odrzucili ich następcy, jako niezgodne z rzeczywistością, niepomni, że i ich rzekomo na prawdzie oparte wywody ulegną temu samemu losowi. Każdy dzień naszego istnienia stawia nas przed zagadkami, które daremnie staramy się rozwiązać.

*Ignoramus et ignorabimus.*

Tułacze, pielgrzymi i ślepce bezdomne w pogoni za szczęściem przywiązujemy się do łada błahostki, nęcącej nam oczy grą tęczowych ko-

lorów, które wkrótce zblakną i rdzą się pokryją.

Cóż tu mamy, coby nas mogło uszczęśliwić?

Czy rodziców, czy przyjaciół, czy krewnych?

Nie znając tajników ludzkiego serca nawet w gronie najbliższych czujemy się osamotnieni. Dzieci tracą rodziców z chwilą ich zgonu, rodzice tracą dzieci z chwilą ich dojrzałości, która im pozwala iść w świat o własnych siłach. Najściślejsze związki przyjaźni i najwznioślejszej miłości rozrywa nieubłagana śmierć.

Cóż więc dziwnego, iż wszystkie szlachetniejsze umysły nie znajdując szczęścia na ziemi, czekają go w krainie pozagrobowego życia? Grecy przez Hyks zapomnienia wkraczają do elizeum, mieszkańcy wysp oceanji puszczają ciała swych zmarłych w łodzi na pełne morze, aby dopłynęły do raju. I murzyni kameruńscy mają podobne wierzenia.

A my chrześcijanie?

Kiedyś dawno, bardzo dawno żył król. Monarcha ten posiadał dostatki, kochającą rodzinę, wiernych przyjaciół. Mimo to serce jego toczył robak smutku, a na twarzy jego nie zagościł nigdy uśmiech szczęścia.

„Królu! Rozkaż sługom, niechaj obejdą twe rozległe kraje w poszukiwaniu człowieka, co sam siebie uważa za szczęśliwego. Jeśli włożysz jego koszulę na siebie, w weselu popłyną dni twego życia“ — tak rzekli mędrce, a król poszedł za ich radą. Długo szukali słudzy królewscy szczę-

śliwego. Szukali go między książęty, między bogatemi mieszczany, między ludem prostym ale napróżno. Wszyscy nosili boleść w duszy z powodu ciężkich zawodów i rozczarowań w życiu. A oto, gdy wracali z daremnej podróży i wstępowali do bramy stolicy królewskiej, żebrak niejaki, siedzący przy drodze podniósł głos, prosząc o jałmużnę.

— „Obeszliśmy szerokie kraje w poszukiwaniu szczęśliwego człowieka“ — rzekli — „i wracamy smutni, iż nie będziemy mogli ukoić smutku naszego pana. Módl się żebraku za hojną jałmużnę, jaką ci dajemy, abyśmy jeszcze w tem mieście mogli znaleźć szczęśliwego“.

— „Nie trudzić się — zawołał żebrak. — „Ja czuję się szczęśliwym“.

— „Złotem płacimy, jesteśmy gotowi nabyć twą koszulę. Daj nam ją“.

Niestety, żebrak był tak ubogi, że nie miał koszuli.

I odeszli słudzy jeszcze więcej smutni, bo wiedzieli, iż do serca królewskiego, otoczonego przepychem i przywiązanego do świata, szczęście nie zawita.

Szumi morze, u mych stóp rozbijają się fale bryzgami piany, chmury zakryły księżyc, który już skłonił się ku zachodowi. Tam daleko na wodach majaczy światółko okrętu, zdążającego do portu.

I ja zbliżam się ku celu. Każda minuta skraca mój byt na ziemi i zbliża mnie do śmierci.

Panta rhei — wszystko bieży.

## XXI.

### BOŻE NARODZENIE W KRIBI 1903 ROKU.

*Separatyzm czarnych. — Przygotowania świąteczne. — Gwiazdka. — Pasterka. — Wspólna Komunja św. — Dekret Piusa X. — Kolendy czarnych. — Wieczna lampka.*

Zakładanie filij misyjnych po osadach murzyńskich przyczyniło się nie mało do rozkrzewienia wiary. To atoli miało tę ujemną stronę, iż zacierało pośród nawróconych poczucie godności.

Aby zapobiec wszelkiemu separatyzmowi postanowiliśmy urządzać w ważniejsze święta jak Boże Narodzenie, Wielkanoc, Zielone Święta, Boże Ciało wspólne dla całego okręgu kribiańskiego nabożeństwa, i obchodzić je ile możności najuroczyściej.

Wszystkie filje otrzymały polecenie stawienia się w tych dniach w Kribi, a dziatwa szkolna została wprost do tego zobowiązana.

Gdy pierwsza w dzień Wszystkich Świętych podjęta próba dała zadawalające wyniki, system ten wprowadziliśmy na stałe i już na najbliższe większe święto Bożego Narodzenia zaprosiliśmy nietylko wiernych, ale i pogan dobrej woli.

Uroczystość poprzedziły odpowiednie przy-

gotowania. Przedewszystkiem cała stacja otrzymała świąteczny wygląd, a następnie opróżniliśmy wszystkie zabudowania, aby spodziewanym gościom zapewnić schronienie i nocleg. Murzyn nie jest wymagający. To też jego pomieszczenie nie przedstawia większych trudności. Najważniejszą dla niego rzeczą jest możliwość rozpalenia ogniska. Gdy to posiada, najchętniej przepędzi całą noc pod gołym niebem. Za posłanie służy mu wiązanka liści, zebranych w ogrodzie, a na przykrycie wystarcza jego własna odzież. Z dziećmi jeszcze mniej kłopotu, dla nich zawsze znajdzie się jakiś kącik.

W dniu wigilijnym stawiły się dzieci szkolne w komplecie, co więcej przyprowadziły z sobą nawet swe młodsze rodzeństwo. Ale prawdziwą radość sprawiły nam mnogie zastępy dorosłych. Obszerny plac, okalający kościół, przyległy ogród, zapełnił się po brzegi czarnymi postaciami. U nas ulokowali się mężczyźni i chłopcy. U sióstr zamieszkała płeć piękna. Takich tłumów jeszcze Kribi nie oglądało.

O godzinie szóstej, równocześnie z zachodem słońca, rozpoczęła się gwiazdka. W obszernej sali szkolnej, nabitej dosłownie czarnymi główkami dziatwy, ustawiono na podwyższeniu drzewko kawowe, przywominające wyglądem naszą polską choinkę, obwieszone łakociami, świecidełkami i świeczkami. Co za radość, gdy drzewko zajaśniało blaskiem licznych światełek. A dopiero gdy braciszek usiadł do fisharmonjum i przy jej



*Ks. katecheza i brat Jan.*

akompanjamentem zaśpiewał pierwszą kolendę w narzeczu murzyńskim, zdawało się, że wszyscy pobiegną do tej jasności i do tych aniołków, co się do nich z drzewka tak wdzięcznie uśmiechały. Po serdecznym przemówieniu ks. katechety w którym zachęcał obecnych do czystości serca, do posłuszeństwa i do miłości Boga nastąpił rozdział podarunków. Dzięki hojności tak miejscowych jak i europejskich dobrodziejów misyj zapasy gwiazdkowe wystarczyły na obdarowanie wszystkich dzieci. Zamiast cukierków i innych łakoci, które tylko



pieszczą język, a nie zaspakajają głodu, otrzymały większych rozmiarów bułki, biszkopty, pomarańcze, a więc solidniejszy do wymagań murzyna zastosowany pokarm. I trwała ta radość przez czas dłuższy, bo ani dzieci, ani dorośli nie myśleli o rozłączeniu się z drzewkiem i z kolenkami i z tym błogim nastrojem wigilijnych obrzędów.

Omówiłem już poprzednio przebieg uroczystości Bożego Narodzenia, urządzonej w ubiegłym roku w Buambe, nie będę więc nudził czytelnika jej szczegółowym opisem w Kribi. Różnicę stanowiła tylko nieporównanie większa liczba uczestników, i okazalsze urządzenie uroczystości. Gdy Siostry przyprowadziły swe wychowanki liczba samych dzieci, zgromadzonych na placu kościelnym dochodziła do 600. Naturalnie i tutaj nie obeszło się bez palenia ognisk, od których cała stacja stanęła w widocznej odległości. Była to prawdziwie wigilijna noc, pełna światła, radości, śpiewów, miłości i pokoju.

O godzinie 12 rozpoczęła się pasterka. Pominiawszy bogactwo świateł i kwiatów, zdobiących wnętrze świątyni, najwięcej ściągał na siebie uwagę żłobek, ustawiony przy bocznym ołtarzu, z którego maleńki Jezus w otoczeniu Najśw. Panny Marji, św. Józefa, pastuszków i trzech królów, wyciągał rączki do uradowanych murzynów. Oczywiście nie brakło też i osła i wołu, grzejących oddechem swego Pana, ani białych owieczek, pasących się na zielonej runi. Na ten

widok czarni śmiali się głośno, radowali się i klaszkali w dłonie. Ach jak chętnie zabraliby z sobą do domów te wszystkie cuda, a szczególnie te kędzierzawe, jak ich czupryna owieczki! Oprócz dzieci, nie posiadających należytego pojęcia o Prz.



*Czarni ministranci.*

Sakramencie, zresztą prawie wszyscy przystąpili do Stołu Pańskiego. Dzieje się na misjach tak jak w pierwotnych czasach Kościoła, kiedy to wszyscy wraz z kapłanem komunikowali, kiedy to nawet niemowlętom dawano do spożycia okruchy, pozostałe po łamaniu anielskiego Chleba. I czyż mogło być inaczej? Jeśli starsi, co w walce życiowej doznali niejednokrotnie porażki, mają wolny przystęp do Jezusa, dlaczegożby dzieci miały być w gorszym

położeniu, te dzieci, których duszyczka uświęcona wodą Chrztu św. nie została zbrukana nawet grzechem powszednim, dlaczegożby nie miały odpowiedzieć miłosnemu wezwaniu Zbawiciela — „dozwólcie dziatkom przyjść do mnie” — Cóż

dziwnego, iż od pierwszej młodości Przenajśw. Ciałem i Krwią Zbawiciela karmione dzieci odznaczały się w późniejszym swem życiu heroicznymi cnotami męstwa, czystości, że tak wiele było pomiędzy nimi powołań do kapłańskiego i zakonnego stanu.

Na tym właśnie potężnym, wpływie częstej Komunji św. opierają misjonarze religijno-moralne wychowanie ludów, pozyskanych Kościołowi. Niedziele i święta u murzynów-katolików nie kończą się na bezmyślnej, a często nawet gorszącej obecności w kościele, na ladajakiem wysłuchaniu nauki i Mszy św., ale są prawdziwie wspólną ucztą duchową, na której nieraz karmiąc się Chlebem aniołów, czerpią siły do wierne go wypełniania swych obowiązków, i do znoszenia w duchu miłości Bożej trudów i cierpień niniejszego żywota. W tej myśli Papież Pius X zalecał nam częstą Komunię św., w tej myśli określił jej warunki, prosił, nalegał, niestety na próżno, bo za ledwie drobna częśćka społeczeństwa europejskiego poszła za Jego wezwaniem. I oto dzisiaj patrzymy się na smutne owoce tej niezrozumiałej obojętności, na panoszące się nowoczesne pogaństwo i na zanik dobrych obyczajów. A czegoż możemy spodziewać się w przyszłości od młodzieży, która zatraciwszy umiłowanie wyższych, szlachetniejszych celów, hołduje grubemu materjalizmowi?

Tutaj w Afryce słowa — dominus vobiscum: Pan z wami“ — z którymi kapłan zwraca się

w czasie Mszy św. do ludu, nie są pustym dźwiękiem, lecz wyrażają istotną prawdę—mianowicie



*Na placu kościelnym.*

złączenie się człowieka z Bogiem, również i wierni odpowiadając — et cum spiritu tuo — i z duchem twoim“ — stwierdzają zgodnie z rzeczywi-

stością, iż za pośrednictwem kapłana stanowią z Chrystusem Panem jedną rodzinę.

„Congregatio fidelium erat cor unum et anima una“ \*). Tak było w pierwszych czasach Kościoła i tak jest dzisiaj między nawróconymi poganami.

Po Mszy św., której, jak w wszystkich innych okręgach misyjnych towarzyszył chorał gregoriański, zaśpiewał chór chłopców jedną i drugą i trzecią kolendę a z nimi śpiewał cały kościół. Z pieśnią na ustach opuszczali nas czarni goście i nieśli ją z sobą do rodzinnych wiosek, do borów i nieprzystępnych dżungli. Po ich odejściu nastąpiła cisza.

Czarna jak tutejsi mieszkańcy noc, utkana gwiazdami, spowija ziemię. Na misji zgasły, wszystkie światła, tylko w kościele pali się wieczna lampka przed utajonym Bogiem w Przenajsw. Sakramencie Ołtarza.

---

\*) Zgromadzenie wiernych było jednym sercem i jedną duszą.

## PO DWUDZIESTU LATACH.

*Statystyka z r. 1914. — O. Pedrou. — Tysięczne tłumy wiernych. — Nabożeństwa na polach. — Ks. Biskup Vogt. — Dajcie nam więcej kapłanów. — Sprytny penitent. — Powołania kapłańskie. — Wśród czarnych.*

Poprzednie rozdziały zawierają spostrzeżenia z pierwszego roku mego pobytu w Kamerunie. Wówczas stawialiśmy tam pierwsze kroki na polu misyjnej działalności. Gorliwość naszych czarnych neofitów była nam dobrze znana, wszakże nikt z nas nie przypuszczał, że z tej drobnej, a mozolnej siejby ewangelicznej w krótkim czasie wyrośnie potężne drzewo, że wyniki pracy misyjnej przybiorą wprost imponujące rozmiary.

Kongregacja nasza opuściła Kamerun w r. 1916. Prowincja ta została podzielona pomiędzy Francję i Anglję. Północną jej część z miastem Wiktorją zatrzymali Anglicy, południowa zaś, z miastami Duala, Kribi, Batanga, przypadła Francuzom.

Według naszej statystyki z r. 1914 stan liczebny dusz, pozyskanych Kościołowi w wikarjacie Kameruńskim przedstawiał się w następujących cyfrach:

- 1) ochrzczonych 37.592
- 2) katechumenów 17.650
- 3) dzieci szkolnych 19.576

Razem 74.818

Jeśli się doda ewentualny przyrost z ostatnich dwóch lat naszej działalności t. j. do roku 1916, ogólna liczba nawróconych dojdzie bez wątpienia do 80.000.

A teraz?

Posłuchajmy co pisze O. Pedrou, francuski misjonarz, z kongregacji św. Ducha, w liście, datowanym 7 czerwca 1928 r. o wzroście wiary katolickiej w Jaunde, stacji misyjnej, oddalonej około 30 mil na wschód od morza, właśnie w tych okolicach, któremi przeważnie zajmuje się niniejsza książka.

Oto jego słowa: — „W niedzielę Trójcy św. rozległa świątynia w Jaunde (60 metrów długa a 20 metrów szeroka) po trzykroć napełniła się coraz to innymi wiernymi.

Chociaż usunięto z kościoła wszystkie ławki i krzesła, to jednak za każdym razem panował taki ścisk, iż niepodobna było się ruszyć. Dla tych tłumów odprawiono z kolei trzy Msze św., podczas których dwóch kapłanów rozdawało Komunię św. bez przerwy przez 20 minut. Po każdej Mszy św. otwierano szeroko drzwi, a wtedy conajmniej 6.000 osób opuszczało mury świątyni, aby zrobić miejsce drugim. Trzeba było widzieć radość tych ludzi, iż mogli uczestniczyć w Przenajśw. Ofierze.

Tymczasem na dziedzińcu czekają już nowe rzesze. W kilka minut kościół znowu zapełnia



*Stacja misyjna w Jaunde.*

się szczelnie i znowu zamykają się drzwi głucho. Nowoprzybyli z nieznaną u nas pobożnością słu-



chają nabożeństwa, śpiewają i modlą się gorąco. Byłem do głębi wzruszony widokiem tych ludzi, co niedawno żyli w ciemnościach pogaństwa, a teraz z taką gorliwością korzystają z łaski powołania do wiary świętej.

Po trzy razy napełniał się kościół i opróżniał w największym porządku. W ten sposób około 20.000 wiernych wysłuchało Mszy św., a przeszło 6.000 przystąpiło do Stołu Pańskiego. Ale te tłumy przedstawiają zaledwie cząstkę ogólnej liczby parafjan. Dla braku miejsca wolno im raz na cztery tygodnie przychodzić do kościoła. Takie jest rozporządzenie ks. biskupa. Wyjątek stanowią najuroczystsze święta. W tych dniach gromadzi się w Jaunde, podobnie jak w Lourdes 50, 60 do 100 tysięcy czarnego mrowia z bliższych i dalszych okolic. Wielu przybywa z wiosek odległych 150 i 200 kilometrów. Nabożeństwo odprawia się dla nich na przyległych polach. Ale i tutaj musi się ich dzielić na grupy po 25.000 i kilka Mszy dla nich odprawić, aby mogli widzieć kapłana przy ołtarzu i słyszeć słowo Boże. Podobnie jak tutejszy poranek, wynurzwszy się z cieniów nocy, cały naraz kąpie się w blasku promieni słonecznych, tak i te ludy, zrzuciwszy z siebie sromotnie jarzmo ducha ciemności, które dźwigały od wieków, zagnały stanęły w światłości Królestwa Chrystusa Pana, jako najwierniejsi Jego poddani. Zaiste godne podziwu zjawisko! Z czemś podobnem nie spotkamy się na całej kuli ziemskiej.



*Cmentarz w Jaunde.*

Słuchajcie kapłani zakonni i świeccy, klerycy, słuchajcie studenci i bierzcie sobie to do serca! Słuchaj cały świecie katolicki! Przy tem wspa-

niałem dziele Bożem misjonarze płaczą, a łzy ich to nie łzy radości, lecz bólu, płynącego z poczucia bezradności, niemocy i upadku sił. Oto tysiące czarnych łakną, a niemasz, ktoby im chleba łamał. Ks. Vogt na widok tych rzesz cisnących się do św. Sakramentów schodzi z swego skromnego tronu biskupiego, zamyka się w pokoju i tam sam na sam skarży się przed Bogiem na brak księży, na brak robotników, którzyby przystąpili do żniwa dojrzałych i bogatych w plon łanów. Słuchajcie! Tylko 5 kapłanów spędza przez całe miesiące dzień po dniu od rana do wieczora w konfesjonałach i niszczy swe zdrowie.

Wielu z wiernych zrobiło pięciodniową drogę, aby odbyć wielkanocną spowiedź i już od środy popielcowej daremnie czekają na swoją kolej. — „Zjedliśmy wszystkie zapasy, jakie wzięliśmy z sobą“ — żalą się przed biskupem — „i bez spowiedzi musimy wracać do domów, aby tutaj nie umrzeć z głodu“ — Biskup nie ma daru czynienia cudów, może tylko litować się i boleć, więc odchodzą smutni, iż nie zaspokoili pragnień swej duszy. Ten i ów padł w drodze z wycieńczenia, inni z trudem dowlekli się do rodzinnych wiossek. Należy spodziewać się, że Bóg w łaskawości swej zadowoli się ich dobrymi chęciami i przyjmie ich do swej chwały, lecz czy tak być powinno? „Na miłość Boską, chrześcijanie całego świata, dajcie mi więcej kapłanów“ — tak woła i błaga obecny biskup kameruński ks. Vogt.

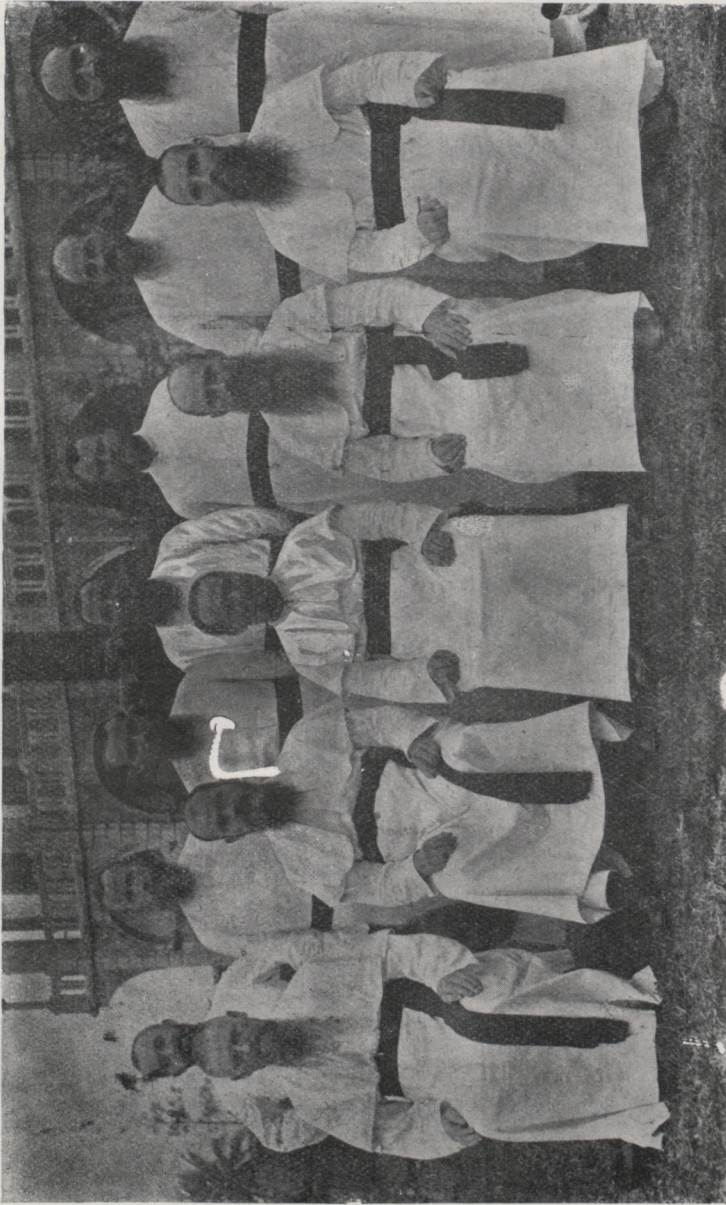
Proszę posłuchać na jakie sposoby biorą się ci ludzie, aby się dostać do konfesjonału.

Jeden z księży staje u progu kościoła i wpuszcza czekających do wnętrza. Narachował ich trzystu i zamknął za nimi drzwi. Tymczasem wracając na swe miejsce widzi, że już dwa razy tyle penitentów dostało się do środka inną drogą, mianowicie przez okna. Jednego murzyna przyniesiono jako chorego do celi misjonarza. Choroba jego trwała dotąd, dopóki nie uklękął do spowiedzi. Po otrzymaniu rozgrzeszenia serdecznie podziękował spowiednikowi za trud i różnym krokiem wyszedł z pokoju. Udawał chorego, aby się łatwiej dostać do spowiedzi.

Biskup ks. Vogt założył w r. 1923 w okolicy cztery stacje misyjne, w których wierni zbudowali własnym kosztem kościółki i plebanje. Co więcej wręczyli biskupowi poważniejszą sumę pieniędzy i zobowiązali się posyłać po księdza auto. Niestety księdza niema do tej pory. Gminami chrześcijańskimi, liczącymi po kilka tysięcy dusz, zawiadują świeccy katechiści.

Poza czynnościami, związanymi z biskupim urzędem, musi ks. Vogt podczas wizytacyj misyjnych nieraz po kilka godzin dziennie siedzieć w szkole i uczyć.

W małym seminarjum, gdzie znajduje się około 60 uczniów wszystkich przedmiotów udziela tylko jeden profesor. Właśnie w czasie mego przyjazdu odbył się jego pogrzeb. Zmarł z przepracowania. Zastąpi go inny misjonarz, ale tem



*Grupa Misjonarzy Palfotyńskich.*

samem zmniejszy się liczba spowiedników, którzy odtąd będą mieli codziennie o kilkaset osób więcej do spowiedzi.

Około 12 młodzieńców przeszło w r. 1927 z małego seminarjum do seminarjum duchownego. Powołań kapłańskich jest dosyć. Zewsząd zgłasza się pobożna młodzież. Cóż począć? W Bogu tylko nadzieja. A wokoło czai się wróg.

Z zachodu napiera w różnych formach protestantyzm, a z północy i wschodu kroczy groźny islamizm.

## SPIS RZECZY.

	<i>Strona</i>
<i>I. Pierwsze chwile na ziemi Afrykańskiej . . . . .</i>	7
Port Wiktorja. — Czarna town. — Szynkownia murzyńska. — Ogród botaniczny. — Laboratorja, oranżerje. — Flora afrykańska. — Grota. — Stosunki religijne w Wiktorji. — Zachód słońca.	
<i>II. Znowu na statku . . . . .</i>	18
W jadalni okrętowej. — Atak febry. — Noc na pokładzie. — Marzenia. — Blisko celu. — Wierny przyjaciel.	
<i>III. W Duala, stolicy Kamerunu . . . . .</i>	29
Ruch na okręcie. — Wielka zatoka. — Główne molo. — Miasto Duala. — Akwa Bell. — Stacja misyjna. — Ks. Vieter. — Początki pracy misyjnej w Duala. — Położenie katedry. — U celu.	
<i>IV. Na głównej stacji misyjnej . . . . .</i>	39
Powitanie. — Nabożeństwo w Katedrze. — Murzyni chrześcijanie. — Chłopy. — Inteligencja. — Murzyńskie mamy. — Wnętrze katedry. — Wieczór wśród współbraci. — Brat Paweł.	
<i>V. U sióstr Pallotynek . . . . .</i>	50
U sióstr Pallotynek. — Spacer poranny. — Czarne Duala. — Przedsiębiorczy starosta. — Drakońskie ukazy. — Nowożytna osada murzyńska. — Przeszkody w wychowaniu. — Częsta Komunja św. — Aniołowie w postaci ludzkiej.	
<i>VI. Przechadzka niedzielna . . . . .</i>	58
Szkoła. — Internat. — Warsztaty. — Kunszt szewski. — Kraj poetów i filozofów. — Czarna elita. — Czarne piękności. — Strój narodowy. — Miasto. — Mieszkania Europejczyków. — Bulwar nadmorski. — Hotel.	

	<i>Strona</i>
<i>VII. Do Kribi</i> . . . . .	71
Pierwsza poczta. — Ruch poranny. — Nachtigall. — Na otwartem morzu. — Malimba. — Batanga. — Plantation. — Latarnia morska. — Kribi. — Port i zatoka. — Położenie stacji misyjnej. — Niedobry znak.	
<i>VIII. Nareszcie u celu</i> . . . . .	81
Góra Marji. — Batanga. — Amerykańscy misionarze. — Działalność misjonarzy katolickich. — Smród brata Józefa. — Budowa domu i kościoła. — Praca duchowna. — Miasto Kribi. — Podróże misyjne. — Przygody w drodze. — Atak febry. — Przez dżungle i bagna. — Druga mogiła na cmentarzu misyjnym.	
<i>IX. Postępy misji na południowym wybrzeżu</i> . . . . .	94
Wśród szczepu Batangów. — Czarni nauczyciele. — Buambe. — Rozwój szkolnictwa. — Ks. Ludwik Otto. — Siostry Pallotynki. — Zwyczaje murzyńskie. — Wychowanie dziewcząt. — Powrót Sióstr do Europy. — Podjęcie przerwanej działalności.	
<i>X. Napad Bulów</i> . . . . .	101
Dziki szczepek Bulów. — Wieści niepokojące. — Szczepła załoga kribiańska. — Zbrojny napad. — Bohaterska obrona. — Zniszczenie i zrabowanie stacji misyjnej. — Osioł filozof. — Ociemniały chłopiec. — Kaplica w Buambe. — Uspokojenie Bulów.	
<i>XI. Kribi w listopadzie 1902 r.</i> . . . . .	111
Zabójczy klimat. — Ks. Rektor H. — Dom mieszkalny. — Dysharmonja. — Wieczór na werandzie. — We własnej celi. — Marzenia.	
<i>XII. Pierwsze dni w Kribi</i> . . . . .	116
Moja nowa siedziba. — Kościół św. Józefa. — Historia krzyża. — Ogród misyjny. — Plantacje kawy — Osada murzyńska. — Zakład Sióstr. — Dzielnica europejska. — Stosunki towarzyskie. — Zły przykład Europejczyków. — Stosunki handlowe. — Gmachy publiczne. — Budowa mostu.	
<i>XIII. Pierwsze zabiegi apostolskie</i> . . . . .	127
Ks. Vieter. — Hangue enene. — Smutny obraz. — Bolesne spostrzeżenie. — Filjalna stacja misyjna w Buambe. — Brat Jan. — Epelani. — Drobnie powodzenia. — Wróg misjonarza.	



- XIV. Buambe . . . . . 132*  
 Wzdłuż morza. — Sine pera et calceamentis. — Sztuki gimnastyczne. — W wsi Buambe. — Opłakany stan kaplicy. — Smutna gospodarka klimatu afrykańskiego. — Praca murzynów. — Polowanie na myszy, szczury i węże. — Uczta myśliwska. — Wizyta miejscowych dygnitarzy. — Stare murzynki. — Przemysłny braciszek. — Noc w kościele. — Niech żyje Afryka.
- XV. Pierwsze Boże Narodzenie w Afryce . . . 144*  
 Życie i praca misjonarza. — Przygoda wieczorna. — Przygotowanie gwiazdkowe. — Zapal czarnych chrześcijan. — Niezwykły obraz. — Pasterka. — Posłannictwo kapłana. — Marsz nocny. — Wielka Batanga. — Poranek fatalny. — Brat Robert i jego recepta. — Znowu w Kribi.
- XVI. Praca duszpasterska w Kribi . . . . . 154*  
 Przybycie drugiego kapłana. — Organizacja szkoły. — Naczelnik Ewec i jego doradcy. — Opieka nad uczniami. — Chrześcijanie kribiańscy. — Człowiek bez żołądka. — Compelle intrare. — Stara sygnaturka. — Stary przyjaciel. — Szczęśliwa myśl. — Nowa wieża.
- XVII. Nowe szkoły . . . . . 164*  
 Pora deszczowa. — Osada angielska. — Stosunki moralne w Plantation. — Niemiła niespodzianka. — Wygodny nocleg. — Złośliwe komary. — Nabożeństwo niedzielne w opłakanych warunkach. — Polskie nerwy. — Dwie nowe szkoły. — Ustawiczny ruch. — Jego dobre skutki.
- XVIII. Moja pierwsza febra . . . . . 174*  
 Konsultacja. — Lekki br. Jana. — Pusty żołądek. — Prozaiczny koniec.
- XIX. Wycieczki misyjne . . . . . 177*  
 U naczelnika wioski. — Katechizacja. — Kłopoty z małżonkami. — Wspólna Komunja św. — Pożegnanie misjonarza. — W głąb kraju. — Ofiary i nadzieje.
- XX. Między niebem, ziemią i morzem . . . . . 189*  
 Księga przyrody. — Filozof Heraklit. — Pielgrzymi jesteśmy. — Ignoramus et ignorabimus. — W pogoni za szczęściem. — Panta rhei.

*XXI. Boże Narodzenie w Kribi . . . . . 196*

Separatyzm czarnych. — Przygotowania świąteczne. —  
Gwiazdka. — Pasterka. — Wspólna Komunja św. —  
Dekret Piusa X. — Kolendy czarnych. — Wieczna  
lampka.

*XXII. Po dwudziestu latach . . . . . 204*

Statystyka z r. 1914. — O. Pedron. — Tysięczne tłumy  
wiernych. — Nabożeństwa na polach. — Ks. Biskup  
Vogt. — Dajcie nam więcej kapłanów. — Sprytny pe-  
nitent. — Powołania kapłańskie wśród czarnych.

